



Kwartalnik polski

Nr 102

Rok (2018) 25

KRYNICA

Pismo mniejszości polskiej na Ukrainie

ISSN 1233-5452





Niedawno moja przyjaciółka obchodziła 75. urodziny. Na uroczystej kolacji z tej okazji wygłoszono toasty i powtarzano słowo „Jubileusz”.

Bez trudu można było zauważyć, że słowo to nie sprawia radości „Jubilatce”. Próbowwała nawet żartować, że to tylko 3 razy po 25... Wszak nikt z nas nie lubi uświadamiać sobie, że czas biegnie nieubłaganie szybko, a nam tak samo nieubłaganie przybywa lat...

Tak bywa z „ludzkimi” jubileuszami. Zupełnie inaczej rzecz się ma z tymi, które obchodzi cały Naród.

Kończący się 2018 rok dla Rodaków w Kraju i Zagranicą, dla wszystkich, którzy kochają Polskę, był Rokiem Wielkiego Jubileuszu – 100. ROCZNICY ODZYSKA-

NIA NIEPODLEGŁOŚCI PRZEZ RZECZYPOSPOLITĄ. To, o czym przez 123 lata niewoli marzyli nasi Ojcowie, o co walczyli i za co umierali – ziściło się 11 listopada 1918 roku. Trudno dziś sobie wyobrazić, ileż trzeba było hartu ducha, by w tamtych czasach „wielkiego mroku” zachować swój język, swoją tradycję i wiarę. I przekazać te wartości dzieciom i wnukom. I zwyciężyć!

Polacy Ukrainy (którym przyszło żyć w czasach „wielkiego komunistycznego mroku” i którzy podobnie jak ich Ojcowie zmuszeni byli odważnie bronić prawa do własnego języka, kultury, tradycji i wiary), ich dzieci i wnuki godnie uczcili JUBILEUSZ NAJJAŚNIEJSZEJ RZECZYPOSPOLITEJ. Nie sposób zliczyć koncertów, konferencji i wystaw, które z tej z okazji zorganizowano w Kraju nad Dnieprem. Zadbano także o mogiły Rodaków, którzy spoczęli w ukraińskiej ziemi. Godnie zmanifestowano przywiązanie do Ojczyzny. I jest to powód do prawdziwej dumy...

Kończy się Rok Wielkiego Jubileuszu... Polakom Ukrainy, Krajanom, którzy tutaj mieszkają i pracują, Rodakom w Kraju – wszystkim z całego serca składam najpiękniejsze, śniegiem przyprószone życzenia z okazji Świąt Bożego Narodzenia: dumy z osiągnięć, radości w sercach, ciepła w rodzinach i tak bardzo potrzebnego nam pokoju. Życzę, by Nowy 2019 Rok przyniósł kolejne sukcesy i obdarzył nas wszelkim Dobrem...

Dorota JAWORSKA
red. naczelny kwartalnika „Krynica”

KRYNICA

kwartalnik mniejszości
polskiej na Ukrainie

Zespół redakcyjny:

Dorota Jaworska (red. naczelny)
Mariusz Woźniak OP
Stanisław Panteluk
Oleksij Braślawiec

Stali korespondenci:

Teresa Dutkiewicz (Lwów)
Jan Ciechanowicz (Wilno)
Wiktoria Wachowska (Żytomierz)
Michał Micel (Nowy Jork)

Skład i łamanie:

Wydawniczy Oddział Instytutu Nauk
Religijnych Św. Tomasza z Akwinu
Red. tech. Mychajło Rojik
Zdjęcia na okładce:
1-4 str. – Stanisław Karcz
3 str. – Stanisław Karcz



„Zadanie współfinansowane
w ramach sprawowania opieki
Senatu Rzeczypospolitej Polskiej
nad Polonią i Polakami za granicą
w 2018 r.”

Koordinator projektu:
Fundacja Wolność i Demokracja



Kontakt z redakcją:
e-mail: dorota57@ukr.net
www.kresy24.pl

SPIS TREŚCI:

WYDARZENIA

Pamięć (<i>Olga Ozolina</i>)	2
„Moniuszko na różnych krańcach świata” (<i>Antoni Kosowski</i>)	3
150. rocznica śmierci Antoniego Andrzejowskiego (<i>Ks. Marek Rudź</i>)	4
20 lat partnerstwa z najlepszymi (<i>Stanisław Panteluk</i>)	6
80. rocznica Bykowniańskiej Tragedii (<i>Andżelika Płaksina</i>)	7
Jubileusz Stowarzyszenia „Aster” w Nieżynie (<i>Andżelika Płaksina</i>)	8
W hołdzie Niepodległej (<i>Andżelika Płaksina</i>)	9
Porządkujemy groby Rodaków (<i>Julia Ferencewa, Rościsław Raczyński</i>)	10
Zapalono znicze i pochyłono głowy (<i>Informacja własna</i>)	11
Poezja łączy narody (<i>Wacław Turek</i>)	12
Ojcom naszym – w hołdzie (<i>Dorota Jaworska</i>)	13

GOSPODARKA

Brexit coraz bliżej. Które polskie firmy ucierpią najbardziej (<i>PAP, Google</i>)	14
---	----

POSTACI

Liberiusz Darkszewicz. W trosce o zdrowie człowieka (<i>Jan Ciechanowicz</i>)	16
--	----

BADACZE SYBERII I DALEKIEGO WSCHODU

Bronisław Piłsudski (<i>Janusz Fuksa</i>)	26
---	----

WSPOMNIENIA Z KIJOWA

Miłe miasto (<i>Stanisław Zawadzki</i>)	30
---	----

LOSY I DROGI

Byłem studentem Politechniki Kijowskiej... (<i>Józef Olszewski</i>)	36
---	----

100. ROCZNICA NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI

Twórcy Niepodległej (cz. IV) (<i>Internet</i>)	54
--	----

HISTORIA JEDNEJ PIEŚNI

Tobie, Ojczyzno, śpiewam... (<i>Internet</i>)	58
---	----

POEZJA

„Jednakże miło być Polakiem...” Polskie wiersze patriotyczne	62
Wiersze śniegiem przyprószone (<i>Mieczysław A. Łyp</i>)	66

DLA NAJMŁODSZYCH

„Niecodzienny gość”, „Leśna sanna”, „Ulepimy bałwana” (<i>Edward Guziakiewicz</i>)	68
---	----

PAMIĘĆ

„Pieśń kronika” (<i>Marek Grechuta</i>)	72
---	----

PAMIĘĆ

28 września br. w pomieszczeniach Polskiej Biblioteki Medycznej w Kijowie otwarto wystawę „*Umierali nie tylko za siebie: Katyń 1940*” poświęconą ofiarom zbrodni katyńskiej. Prezentowana wystawa opowiada o historii przyczynach, przebiegu i skutków zbrodni, zapoznaje z miejscami jej upamiętnienia.

Ekspozycja została zorganizowana przez Ambasadę RP w Ukrainie, Muzeum Katyńskie w Warszawie, Narodową Naukową Bibliotekę Medyczną Ukrainy, Narodowy Memoriał Historyczny „Bykowniańskie groby”, Polską Bibliotekę Medyczną im. prof. Zbigniewa Religi w Kijowie.

Ceremoni otwarcia dokonała Zastępca Dyrektora Narodowej Naukowej Biblioteki Medycznej Ukrainy ds. technologii informacyjnych Aurelia Wiđ'ma, która poinformowała, że wśród tych, którzy zginęli w Katyniu było ponad 750 lekarzy i farmaceutów, a ponad 300 nazwisk z tej strasznej listy można zobaczyć na wystawie.

Prezes Stowarzyszenia Lekarzy Polskich na Ukrainie prof. Anatol Świąćicki przypomniał, że polscy lekarze, którzy dostali się do sowieckiej niewoli, aż do ostatniej chwili swego życia pozostawali wierni przysiędze Hipokratesa i nie zważając na własne cierpienia – starali się pomóc towarzyszom niedoli: konsultowali ich, leczyli i wspierali moralnie.

Dyrektor Muzeum Katyńskiego w Warszawie Sławomir Frąćczak wyraził zadowolenie z owocnej współpracy między ukraińskimi i polskimi badaczami prawdy o zbrodniach systemu komunistycznego. Podkreślił, że Ukraińców i Polaków dziś łączy także tragedia podkijowskiego Lasu Bykowniańskiego, gdzie znalazły ostatni spoczynek zarówno ofiary Wielkiego Terroru, jak i męczennicy z tzw. Ukraińskiej Listy Katyńskiej.

Zastępca Dyrektora Generalnego ds. Badań Naukowych Memoriału Historycznego „Bykowniańskie groby” Tatiana Szeptycka podkreśliła, że ta i jej podobne wystawy przypominają o największej wartości – ludzkim życiu. Historia Bykowni i Katynia – to opowieść o wielkiej tragedii, w rezultacie której nasze narody straciły swych najlepszych przedstawicieli. To opowieść o tragediach rodzin, o tragedii jednostek. Pani Szeptycka zaakcentowała również znaczenie upowszechniania prawdy o tych zbrodniach.

W specjalnej gablocie wyeksponowano osobiste rzeczy rozstrzelanych, które znaleziono podczas prac wykopaliskowych w Bykowniańskim Lesie.

Olga OZOLINA



Chwila zadumy przed jedną z wystawowych plansz

„MONIUSZKO NA RÓŻNYCH KRAŃCACH ŚWIATA”

Międzynarodowy projekt muzyczny pod taką dewizą wystartował w kijowskim Domu Aktora 4 października 2018 roku. Koncert inauguracyjny pt. „Moniuszko, «Suka» i Kozak” poświęcono 100-leciu odzyskania przez Polskę niepodległości i zbliżającej się (w przyszłym roku) 200. rocznicy urodzin wybitnego polskiego nauczyciela, organisty i przede wszystkim polskiego kompozytora, twórcy polskiej opery narodowej – Stanisława Moniuszki.

Wybór Ukrainy na pierwszy kraj realizacji tego projektu nie jest przypadkowy, gdyż właśnie w Kijowie, w 1873 roku po raz pierwszy (w granicach ówczesnego imperium carskiego) została wystawiona jego opera „Straszny Dwór”, która otworzyła kompozytorowi drogę do sławy.

Polscy i ukraińscy artyści przedstawili kijowianom specjalnie przygotowany program, w którym muzykę klasyczną wybitnego polskiego kompozytora (utwory popularne i niedawno odkryte) przearanżowano na ukraińskie i polskie instrumenty ludowe.

Wielbiciele polskiej muzyki klasycznej, przedstawiciele społeczności polskiej stolicy, działacze kultury i sztuki, a także przedstawiciele korpusu dyplomatycznego gorącymi oklaskami nagradzali występy polskich i ukraińskich solistów, w tym: Jelizawety Lipitiuk (sopran); Serhija Bortnyka (tenor); Wiktora Kowalskiego (baryton) – aktora, kompozytora, dziennikarza i konferansjera; a także Jarosława Domagały – absolwenta

Akademii Muzycznej w Łodzi, pianisty zespołu kijowskiej filharmonii „Рідні Наспівні”, który specjalnie dla tego projektu przygotował aranżacje muzyki Stanisława Moniuszki na ukraińskie instrumenty ludowe.

Profesor Akademii Muzycznej w Krakowie, dr hab. Maria Pomianowska, wykonała dwa utwory Stanisława Moniuszki na unikatowym staropolskim instrumencie smyczkowym zwanym „suka biłgorajska” i zapoznała publiczność z historią tego instrumentu. Należy zaznaczyć, że Pani Profesor stoi na czele Społecznego Komitetu Obchodów 200. Rocznicy Urodzin Stanisława Moniuszki.

Klejnotem koncertu stało się wykonanie znanych arii z opery „Straszny dwór” Stanisława Moniuszki. Arię Skołuby („Ten zegar stary”) wykonał Aleksander Czajkowski-Ładysz (bas) – syn słynnego polskiego śpiewaka operowego, jednego z najlepszych basów świata – Bernarda Ładysza. Pan Aleksander jest scenarzystą i reżyserem tego projektu, stworzonego przy Fundacji „POL CAN ART”, objętego wsparciem Senatu RP i realizowanego przy współpracy z ambasadami i konsulatami RP oraz organizacjami polonijnymi. Koordynatorem projektu jest Zasłużona Artystka Ukrainy Natalia Kowalenko (sopran).

W ramach projektu w październiku na terenie Ukrainy odbyły się jeszcze 4 koncerty – w Winnicy, Żytomierzu, Iwano-Frankowsku i Tarnopolu.

Antoni KOSOWSKI

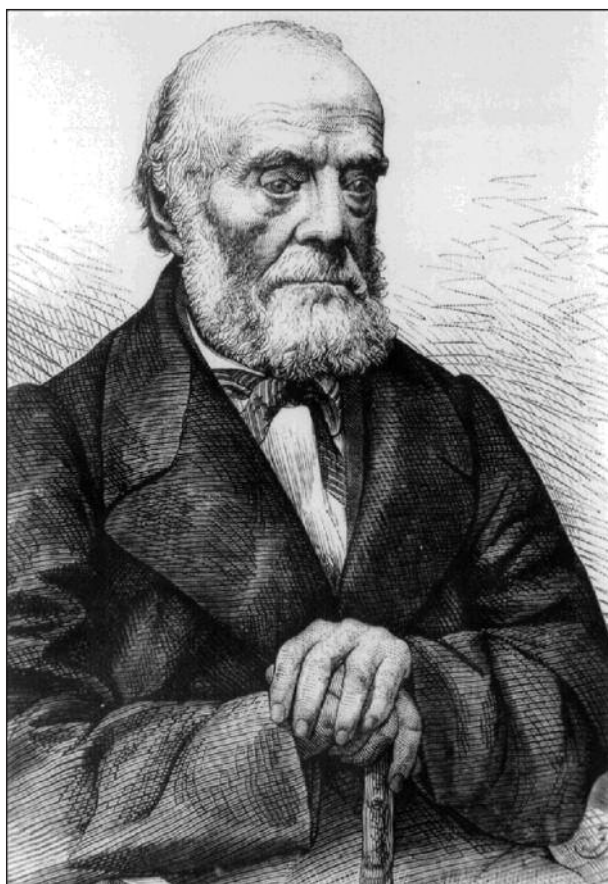


Scena stołecznego Domu Aktora gościła w tym dniu wielkich artystów

150. ROCZNICA ŚMIERCI ANTONIEGO ANDRZEJOWSKIEGO

Antoni Andrzejowski, pseudonim: „Stary Detiuk” – polski przyrodnik, botanik, geolog, pamiętnikarz i pisarz.

Urodził w 1785 roku Warkowiczach koło Dubna na Wołyniu. Syn Łukasza – uboższego szlachcica, kasjera banku Antoniego Prota Potockiego, i matki z Sobińskich. Wychowany na dworze kasztelanowej Bieżyńskiej w Ludwipolu, później u wojewody sieradzkiego Michała Walewskiego, gdzie jego ojciec był rządcą majątku i marszałkiem dworu. Pierwsze nauki pobierał w Korcu i w Tuczynie (pod kierunkiem F. Szopowicza). Szkołę ukończył w Międzyrzeczu Koreckim. W roku 1801 (po śmierci ojca), został wysłany przez Aleksandra Chodkiewicza do Wilna dla dalszej nauki rysunku. Pod kierunkiem Jędrzeja Śniadeckiego studiował nauki przyrodnicze i malarstwo u J. Oleszkiewicza. W tym czasie prywatnie pobierał nauki, wykłady botaniki i zoologii u Stanisława Bonifacego Jundziłła oraz lekcje anatomii.



Antoni Andrzejowski

W roku 1806 przeniósł się do Krzemieńca studiując tam botanikę u Franciszka Scheidta i Willibalda Bessera. Był wykładowcą nauk przyrodniczych m.in. w Liceum Krzemienieckim. Dorabiał sobie lekcjami rysunku. Następnie od roku 1818 został pomocnikiem, w późniejszym czasie adiunktem W. Bessera przy katedrze botaniki i zoologii. Ponadto uczestniczył w pracach Towarzystwa Młodzianów Gimnazjum Wołyńskiego Kształcących się w Porządnym Mówieniu i Pisaniu. Do swych prac wykorzystywał częste jego wycieczki po Wołyniu, Litwie, Ukrainie i Podolu (lata: 1816, 1818, 1822–1825 i 1830). Zbierał okazy botaniczne i geologiczne. W roku 1832, w wyniku likwidacji szkoły w Krzemieńcu przez zaborcę rosyjskiego przeniósł się wraz z innymi polskimi naukowcami z Krzemieńca do Kijowa, gdzie podjął pracę na Uniwersytecie Kijowskim jako asystent W. Bessera (do roku 1839).

W roku 1839, zwolniony przez władze rosyjskie za ukrywanie spiskowca, nauczał historii naturalnej w Liceum księcia Bezborodki w Nieżynie (gubernia czernihowska). Od roku 1852 już jako emeryt zamieszkał początkowo w Niemirowie, następnie w Stawiszczach (1856 r.) na Ukrainie u Aleksandra Branickiego, gdzie założył i opiekował się jego ogrodem botanicznym, międzyczasie oddając się pracy pisarskiej.

Zmarł 12 grudnia roku 1868 w Stawiszczach.

Internet

W dniu 29 września 2018 r. uroczyste obchody 150. rocznicy śmierci prof. Antoniego Andrzejowskiego rozpoczęto o godz. 12.00 Mszą świętą za duszę ś.p. wybitnego naukowca, którą celebrowano na cmentarzu katolickim w Stawiszczach, gdzie spoczywają jego doczesne szczątki.

Przybyłych gości powitał gospodarz uroczystości – ks. Marek Rudź, proboszcz parafii w Stawiszczach.

Eucharystii przewodniczył ks. dziekan Krzysztof Wilk, proboszcz Bohusławia.

Mszę św. koncelebrowali: ks. Anatol Monżyjewski – proboszcz z Białej Cerkwi, o. dominikanin z Fastowa Jan Piątkowski, grekokatolicki proboszcz z Białej Cerkwi – ks. Jewhen Merimerin oraz grekokatolicki ksiądz z Iwano-Frankiwska Piotr Basarab.

W modlitwie uczestniczyli również księża prawosławni z kijowskiego patriarchatu: ks. proboszcz ze Sta-

wiszcz – Andrij Myśko oraz ks. proboszcz z Rokitnego – Mychajło Kalika. Obecne również były siostry zakonne z Kongregacji Sióstr Boskiego Odkupiciela z Humania oraz Siostry Dominikanki z Fastowa.

Na uroczystość przybył Konsul Generalny RP z Kijowa pan Bartosz Jabłoński. Obecny był również mer Stawiszcz – pan Wołodymyr Koszyński, a także grono profesorów z NAN z Kijowa oraz członkowie polskich organizacji z Taraszczy i Białej Cerkwi.

Poświęcenia memoriału – symbolicznego grobu Antoniego Andrzejowskiego dokonał ks. proboszcz z Białej Cerkwi – Anatol Monżyjewski.

Po zakończeniu liturgii jej uczestnicy udali się do Stawiskiego Rejonowego Domu Kultury, gdzie wszyscy uczestnicy zostali ugoszczeni posiłkiem, który przygotowała Parafia Katolicka w Stawiszczach, przy finansowym wsparciu Dobroczynnej Fundacji „Forteca” Ołeksandra Ferencza.

Następnie rozpoczęła się konferencja naukowa przygotowana przez naukowców NAN Ukrainy z Kijowa, którą poprowadził dr Mirosław Szewera.

W konferencji wzięło udział znaczne grono naukowców z Kijowa i Białej Cerkwi: Wiktor Melnyk – prof. dr hab. nauk biologicznych, dziekan Wydziału Flory Naturalnej NAN Ukrainy z Kijowa; Mirosław Szewera – dr nauk biologicznych, pracownik Wydziału Systematyki i Florystyki Roślin Naczyniowych Instytutu Botaniki im. Chołodnego NAN Ukrainy z Kijowa; Ludmiła Zawiałowa – dr nauk biologicznych, pracownik Wydziału Systematyki i Florystyki Roślin Naczyniowych Instytutu Botaniki im. Chołodnego NAN Ukrainy z Kijowa; Oksana Kuczer – dr nauk biologicznych, pracownik Wydziału Geobotaniki i Ekologii Instytutu Botaniki im. Chołodnego NAN Ukrainy z Kijowa; Ołeksandr Senczyło – dr nauk biologicznych, Dyrektor Ogrodu Botanicznego im. Fomina Kijowskiego Narodowego Uniwersytetu im. Szewczenki z Kijowa; Witalij Kołomijczuk – dr nauk biologicznych, docent, Zastępca Dyrektora Ogrodu Botanicznego im. Fomina Kijowskiego Narodowego Uniwersytetu im. Szewczenki z Kijowa; Jewhen Czernecki – dr nauk historycznych, dr hab. nauk humanistycznych z Białej Cerkwi.

Po zakończeniu konferencji przewidziano uroczysty koncert ku czci Antoniego Andrzejowskiego, który również odbył się w Stawiskim Rejonowym Domu Kultury.

Jako pierwsi wystąpili członkowie rodziny Merimerin z Białej Cerkwi w składzie: Walentyna (babcia)

– skrzypce, Anna (mama) – fortepian, Matwii (syn) – skrzypce, Melania (córka) – recytacja.

Na początku wykonano utwór muzyczny „Mazurek Bakłanowej”, a następnie popularną pieśń w wersji instrumentalnej „Hej, sokoły”.

Występ rodzinny zakończyła Melania recytacją wiersza Hrihorija Skoworody pt. „Do Zesłania Ducha Świętego”.

Drugim punktem koncertu był śpiew operowy w wykonaniu Jurija Nazarenko przy akompaniamencie fortepianowym Anny Merimerin. Pierwszą pieśnią była aria Petra z opery „Natałka Połtawka” M. Łysenki, zaś drugą pieśń ukraińska pt. „Dywlus ja na nebo”.

Kolejnym punktem występów był wiersz autorstwa Hanny Pastuszczenko pt. „Poswiata Stawyszczu” w interpretacji Ołeny Petuchowej.

Następnie wystąpiła niezwykle utalentowana uczennica ósmej klasy z miejscowości Hostra Mołyła k/ Stawiszcz Anastasija Witruk. Anastasija zaśpiewała ludowe pieśni ukraińskie przy własnym akompaniamencie na syntezatorze.

Kolejnymi wykonawcami były uczennice polskiej szkoły sobotniej przy Stowarzyszenia Kultury Polskiej im. Z. Krasieńskiego z Białej Cerkwi Lera Winicka oraz Olha Bohucka, które deklamowały w języku polskim wiersze polskich poetów.

Koncert zwińczył chór białocerkiewskiego Centrum Polskiej Oświaty i Kultury „Stokrotka” pod kierownictwem pani Heleny Dubowyk. Śpiewacy wykonali polskie pieśni popularne „Hej, sokoły”, „Czerwone jabłuszko” oraz „Gdzie strumyk płynie z wolna”.

Organizatorzy wyrażają wdzięczność pani przewodniczącej Centrum Polskiej Oświaty i Kultury Jadwidze Zajączkowskiej za udział organizacji w uroczystym koncercie ku czci A. Andrzejowskiego oraz pani naczelnik Wydziału Kultury, Młodzieży i Sportu Stawiskiej Rejonowej Państwowej Administracji – Natalii Łukjanec za bezpłatne wynajęcie Domu Kultury oraz zapewnienie technicznej obsługi uroczystości.

Z okazji uroczystych obchodów 150. rocznicy śmierci Antoniego Andrzejowskiego, z inicjatywy uczonych Narodowej Akademii Nauk Ukrainy wydano pamiątkową publikację pt. „Antoni Andrzejowski. Los i talenty znanego przyrodnika” («Антоній Андажейовський. Талан і таланти відомого натураліста»). Autorami pozycji są: M. Szewera, L. Zawiałowa, M. Fedoronzuk, A. Iljinska, ks. M. Rudź, S. Płachotniuk.

Ks. Marek RUDŹ

„20 LAT PARTNERSTWA Z NAJLEPSZYMI”

O Kompanii „Plastics-Ukraina” i dobru czynionemu przez ręce jej kierownictwa i pracowników dobrze wiedzą na Ukrainie. Kompania ta angażuje się w działania o charakterze społecznym: inicjuje akcje dobroczynne, w tym w środowisku Polaków mieszkających na Ukrainie, wspiera rozwój lokalnych rynków pracy, przywiązuje duże znaczenie do dbałości o środowisko naturalne.

Od dawna wielką uwagę udziela kwestiom związanym ze sferą zarządzania personelem i sprawom kadrowym. „Plastics-Ukraina” – to ludzie, dlatego Kompania inwestuje istotne środki w ich szkolenie.

Powszechnym i zasłużonym szacunkiem cieszy się Dyrektor Generalny Kompanii „Plastics-Ukraina” Ireneusz Derek – aktywny członek i wieloletni Prezes Międzynarodowego Stowarzyszenia Przedsiębiorców Polskich na Ukrainie, który kwestiom relacji kierownictwo-podwładni poświęca szczególną uwagę i na ten właśnie temat napisał książkę (o charakterze podręcznika) pt. „Я раб или свободный человек”.

W jednym z wywiadów Ireneusz Derek powiedział: *„Nasza kompania jest przekonana, że tylko przejrzysty biznes ma przyszłość. Tak przecież żyje cały cywilizowany*

i postępowy świat. I tak będzie żyć Ukraina. Inaczej po prostu nie może być. Zaufanie jest nową walutą czasów współczesnych. My odczuwamy to absolutnie realnie. W faktach i liczbach. Bezsprzecznie, dla nas zadaniem numer jeden jest to, aby nasza reputacja była odzwierciedleniem wszystkiego, co w rzeczywistości dzieje się w naszej Kompanii. Jeżeli osiągasz zamierzony rezultat – nasi pracownicy są zadowoleni, kompania pracuje stabilnie i rentownie, jeżeli jesteśmy uczciwi wobec siebie, wobec naszych partnerów i klientów – to wszystko wówczas zapewnia naszej firmie wysoką pozycję, a zatem i doskonałą jakość produkowanych wyrobów”.

Blisko 900 gości zawitało 4 października br. do przestronnych sal kijowskiego „Arsenału Sztuki” na świętowanie 20-lecia Kompanii „Plastics-Ukraina”. Burzliwymi oklaskami zebrani powitali Dyrektora Generalnego Kompanii Ireneusza Dereka, który inaugurując święto zwięźle opowiedział o jej 20-letnim dorobek.

„Dzisiejsze święto – podkreślił Pan Ireneusz – nie sprowadza się do tylko do jubileuszu kompanii „Plastics-Ukraina”, gdyż jest to święto naszych partnerów społecznych, którzy sprawili nam taką przyjemność, a my ze swojej strony chcemy ten uroczysty, świąteczny wieczór sprezentować naszym klientom, dostawcom, przyjaciołom. Pozwolę sobie zaznaczyć, że nasza kompania to nie tylko biznes, to oprócz niego swoista platforma, gdzie spotykają się rzetelni, dobrzy ludzie, którzy pragną nasz świat uczynić lepszym. I dziś na sali spotkacie tylko takich ludzi, nie ma tu obcych, tu są wszyscy swoi. I to się liczy. Chcę, abyście przekonali się, że pomyślny biznes może być odpowiedzialny w aspekcie społecznym. A jest to bardzo ważne, szczególnie w dzisiejszej Ukrainie”.

Program jubileuszowego wieczoru artystycznego pod dewizą: „20 lat partnerstwa z najlepszymi”, który toczył się pod czujnym okiem dyrektora Działu Rozwoju Sieci Dariusza Górczyńskiego, był jaskrawy i niezwykle radosny. Prawdziwy wernisaz sztuki, oryginalne instalacje, występy taneczne i wokalne towarzyszyły pokazowi projektów społecznych, realizowanych w ciągu 20 lat.

Jubileusz udał się „NA STO DWA”. Bo w „Plastics-Ukraina” nie mogło być inaczej!

Stanisław PANTELUK

Zdj. A. Płaksina



Na scenie Dyrektor Generalny Kompanii „Plastics-Ukraina” Ireneusz Derek

80 ROCZNICA BYKOWNIAŃSKIEJ TRAGEDII

Z okazji 100-lecia Niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej oraz 80. rocznicy tragedii w Bykowni w centralnym gmachu Kijowskiego Narodowego Uniwersytetu Przyrodniczego w dniu 6 października 2018 roku obradowała V Międzynarodowa Naukowo-Praktyczna Konferencja nt. „*Miejsca/miejsce pamięci w polsko-ukraińskim dialogu porozumienia*”. Przedsięwzięcie swoim patronatem objęli: Ministerstwo Edukacji i Nauki Ukrainy, Ambasada RP na Ukrainie, Wydział Konsularny Ambasady RP na Ukrainie, FOPnU, Narodowy Uniwersytet Przyrodniczy Ukrainy, Instytut Historii Ukrainy NAN Ukrainy, Państwowy Memoriał Historyczny „Bykowniańskie groby”.

Celem konferencji było oddanie hołdu ofiarom ludobójstwa; moralna i duchowa odnowa społeczeństw; formowanie inkluzyjnej pamięci o przeszłości; wychowanie szacunku do zachowania pamięci we współczesnej młodzieży; kultywowanie kultury stosunków międzynarodowych i dialogu w rozwiązywaniu tzw. „trudnych pytań”, rozbudowywanie dobrosąsiedzkich stosunków; formowanie przymierza między Polską i Ukrainą oraz „podołanie przeszłości”, wychowanie tolerancji, człowieczeństwa, współczesnego światopoglądu u młodego pokolenia; wzrost efektywności i jakości prac naukowych.

W konferencji wzięli udział badacze, młodzi naukowcy, doktoranci, studenci, przedstawiciele organizacji społecznych, a także pracownicy bibliotek, archiwistów, muzealnicy, specjaliści z Ukrainy i Polski.

Inaugurację oraz obrady plenarne konferencji zaszczylicili swoją obecnością: Małżonka Ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie Renata Skurczyńska-Piekło, Kierownik Referatu ds. Współpracy Naukowo-Oświatowej Ambasady RP w Kijowie Emilia Ja-

siuk i Radca Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Jacek Goćłowski.

W swoim wystąpieniu Radca Emilia Jasiuk przekazała podziękowania FOPnU i podkreśliła: „*Mówimy o Bykowni, mówimy o Auschwitz, mówimy o innych tragicznych wydarzeniach po to, by mieć większą świadomość tego, co się stało. Aby nie dopuścić w przyszłości do powtórzenia tych strasznych zachowań...*”.

„*Bykownia jest tym miejscem, które na stałe zapisało się w historii narodu polskiego i w historii narodu ukraińskiego... Nie powinniśmy ulegać statystyce... Jak powiedziała polska noblistka Wisława Szymborska w jednym ze swoich wierszy, «Historia zaokrąglą szkielety do zera...»*” – zaznaczył Radca Jacek Goćłowski.

W pracach konferencji uczestniczyła też delegacja z Polski na czele z dr Ewą Kowalską – główną specjalistką Biura Poszukiwań i Identyfikacji Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie, która wygłosiła referat pt. „*Przestanie artefaktów wydobytych z mogił*”.

Wśród gości honorowych obecny był także prof. dr hab. Henryk Sobczuk – dyrektor Przedstawicielstwa PAN w Kijowie i Teresa Dutkiewicz – wiceprezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, redaktor naczelna czasopisma FOPnU „*Nasze drogi*”.

Podczas sesji plenarnej uczestnicy konferencji wysłuchali wielu ciekawych i dogłębnych referatów na temat nabrzmiałych tematów doby obecnej.

Konferencja została zorganizowana i przeprowadzona na wysokim poziomie dzięki staraniom organizatorów: dyrektor Domu Polskiego w Kijowie Marii Siwko i dr Walentyny Melnik, docent NUP.

Andżelika PEAKSINA

Zdj. autora



Uczestnicy konferencji
na wspólnym zdjęciu

JUBILEUSZ STOWARZYSZENIA „ASTER” W NIEŻYNIU

Od niepamiętnych czasów wielki wkład w rozwój gospodarczy i kulturalny Czernihowszczyzny, a w szczególności Nieżyna, mieli Polacy. Tę piękną tradycję kontynuują aktywiści zrzeszeni w Polskim Kulturalno-Oświatowym Stowarzyszeniu „Aster”, które w roku 100-lecia Niepodległości Polski obchodzi swój Jubileusz – 20-lecie działalności.

Ciepła i radosna atmosfera zapanowała w gościnnym Nieżynie, który w dniu 19 października br. powitał dostojnych gości: Kierownika Referatu ds. Współpracy Naukowo-Oświatowej Ambasady RP na Ukrainie Emilię Jasiuk, Radcę Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Jacka Goćłowskiego, Prezesa ZPU Antoniego Stefanowicza i redaktora naczelnego „Dziennika Kijowskiego” Stanisława Panteluka. Przybyłych przed miejskim ratuszem witała m.in. główny organizator przedsięwzięcia, Prezes Polskiego Kulturalno-Oświatowego Stowarzyszenia Polaków „Aster” Feliksa Bielińska.

Ważnym punktem jubileuszowych obchodów było odwiedzenie historycznego cmentarza katolickiego, na którym honorowi goście złożyli kwiaty i oddali hołd modlitwą i minutą ciszy. Zawitali oni także do odnowionego Centrum Kultury Polskiej, w którym obywatele polskiego pochodzenia, dzięki licznym przedsięwzięciom, poznają bliżej kulturę, język, tradycje i

obyczaje swej praojczyzny. Funkcjonuje tu także Polska Szkoła Sobotnia.

Bogaty program obchodów obejmował również wycieczkę do Państwowego Muzeum M. Gogola i do Galerii Sztuki Uniwersytetu Nieżyńskiego. W tym dniu odbyło się oficjalne otwarcie Centrum Naukowo-Edukacyjnego „Studium Polskie” oraz podpisanie umowy o współpracy między Uniwersytetem Pedagogicznym w Krakowie a Nieżyńskim Państwowym Uniwersytetem im. Mikołaja Gogola.

Wspaniałą kulminacją Jubileuszowego Festiwalu Kultury Polskiej stał się świąteczny koncert, przeprowadzony w auli Nieżyńskiego Uniwersytetu Państwowego im. M. Gogola i przygotowany przez członków Stowarzyszenia „Aster”. W trakcie świątecznego koncertu rektor Uniwersytetu, władze miasta i rejonu dziękowały Prezes Feliksie Bielińskiej za owocną współpracę; wręczano dyplomy uznania, kwiaty i prezenty, życzone dalszej owocnej pracy.

Gratulacje Dostojnej Jubilatce złożył Radca Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Jacek Goćłowski.

Zakończyła uroczystości wykwintna kolacja, w trakcie której wzniesiono wiele toastów za Jubilatkę – Polskie Kulturalno-Oświatowe Stowarzyszenie „Aster” i Jej Panią Prezes – Feliksę Bielińską.



Andżelika PŁAKSINA

Zdj. autora

Od redakcji

Z żalem zawiadamiamy, że w dniu 09.11.2018 r. odeszła do Wieczności Prezes Polskiego Kulturalno-Oświatowego Stowarzyszenia „Aster” Feliksa BIELIŃSKA.

Krewnym i bliskim, wszystkim członkom PKOS „Aster” redakcja kwartalnika „Krynica” składa serdeczne wyrazy współczucia.

„Bez energii, bez zaangażowania Pani Feliksy niemożliwe byłoby działanie Stowarzyszenia «Aster»” – zaznaczył Radca Jacek Goćłowski

W HOŁDZIE NIEPODLEGŁEJ



Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie, reprezentowana przez „Dom Polski” w Kijowie, zorganizowała 20 października br. w kijowskim Muzeum im. M. Łysenki imprezę poświęconą 100. rocznicy Odzyskania przez Polskę Niepodległości. Celem przedsięwzięcia było promowanie obchodów Jubileuszu w środowisku polskiego społeczeństwa na Ukrainie; aktywizacja uczniów, młodzieży, nauczycieli, rodziców i dziadków oraz lokalnych środowisk, by włączały się one w te obchody; upowszechnienie pamięci o przeszłości i zaznajamianie z teraźniejszością Rzeczypospolitej.

Imprezę przeprowadzono w ramach projektu „Nasza Niepodległa”, której patronuje Fundacja „Wolność i Demokracja”.

Spotkanie zaszczyliła swoją obecnością Attaché Wydziału Konsularnego RP w Kijowie Iga Kaca, która przekazała organizatorom najlepsze życzenia z okazji zbliżającego się święta i zaznaczyła, że wielkie wrażenie zrobiła na niej tak liczna obecność młodzieży polskiego pochodzenia, której należy przekazywać wiedzę o historii Polski w specjalny sposób. Stąd imprezy takiego rodzaju to także korzystna edukacja.

Prowadząca imprezę nauczycielka Polskiej Szkoły Sobotniej, Helena Szymańska, przedstawiła zebrany

historyczne etapy odzyskania przez Polskę Niepodległości. Jej referat był ilustrowany występami muzycznymi.

Uzdolniona młodzież ofiarowała zebrany radość i emocje poprzez znakomitą interpretację wspaniałych dzieł muzycznych polskich kompozytorów. Zaprezentowano najciekawsze przykłady różnych gatunków muzycznych: od utworów skrzypcowych, fortepianowych – po recytację wierszy patriotycznych.

Zastępca Dyrektora Szkoły im. Św. Marii Magdaleny we Lwowie, Wiera Szyrniowa, zaprezentowała interesujący wykład nt. „Wkład mieszkańców Lwowa w odzyskanie Niepodległości”, który zilustrowała pokazem slajdów.

Dziękując uczestnikom i słuchaczom za udział w przedsięwzięciu, Dyrektor Domu Polskiego w Kijowie Maria Siwko zaznaczyła, że dzięki temu projektowi młodzież, na której nam tak bardzo zależy, miała możliwość dokładniej poznać historię Odzyskania przez Polskę Niepodległości.

W finale imprezy, na ulicy, gdzie ustawiono namiot z polską symboliką i materiałami związanymi z 100. rocznicą Niepodległości RP, na zebranych czekała niespodzianka – pyszne rogiem świętomarcińskie. Młodzież otrzymała także koszulki z napisami „Niepodległa” i stanęła do wspólnego zdjęcia na pamiątkę tak bardzo korzystnej i udanej imprezy.

Andżelika PŁAKSINA
Zdj. autora



Organizatorzy i uczestnicy imprezy na wspólnym zdjęciu

PORZĄDKUJEMY GROBY RODAKÓW

„Mogilę pradziadka ocal od zapomnienia” – dewiza wolontariuszy z polskiej Bogatyni, którzy latem tego roku przebyli w Kijowie celem uporządkowania polskiej parceli cmentarza na wzgórzu Bajkowa, w sobotni poranek 27 października br. nabrała nowego znaczenia.

Apel Kijowskiego Narodowościowo-Kulturalnego Stowarzyszenia Polaków „Zgoda”, które od wielu już lat dba o polskie groby, zgromadził na Cmentarzu Bajkowa przedstawicieli polskiej społeczności naszego miasta, których zamierzeniem było porządkowanie grobów sławnych Polaków pochowanych w zabytkowej części cmentarza i tych Nieznanych, których zaniedbane mogiły świadczą o tym, że nie żyją już ich potomkowie...

Rzetelnie opracowano plan działania. Utworzono cztery grupy. Część stara (tak zwany stary polski sektor) przypadła w udziale grupie „Zgodowców” młodszego pokolenia. Przy kwaterze 114, gdzie spoczywają polegli w 1920 roku żołnierze Pierwszej Dywizji Piechoty im. Legionów Polskich, pracował zespół kierowany przez Wiceprezesa „Zgody” Wandę Pawłową. „Górką Górceckiego” (w okolicy zniszczonej kaplicy) opiekowała się grupa Rościsława Raczyńskiego. Czwartą grupą, na czele z Julią Ferencową, porządkowała groby W. Kortubińskiego, W. i E. Wysockich i innych.

Do porządkujących tradycyjnie dołączyła dziesięcioosobowa grupa z Kijowskiej Polskiej Młodzieżowej Asocjacji „Młodzi i Kreatywni” (Prezes Łarysa Bułanowa).

W akcji wzięli również udział przedstawiciele filii młodzieżowego stowarzyszenia miasta Dnipro – członkowie Kulturalno-Edukacyjnego Stowarzyszenia Polonistów „Krok Pierwszy”. A uczniowie Polskiej Szkoły Sobotniej przyszli nie tylko ze swoim kierownikiem – Łesią Jermak, lecz także z rodzicami. Na Cmentarz Bajkowa przybyli również przedstawiciele Szkolnego Punktu Konsultacyjnego przy Ambasadzie RP na Ukrainie.

Jak zawsze sumiennie podeszła do sprawy Swietłana Genina – Dyrektor Biura Międzynarodowego Stowarzyszenia Przedsiębiorców Polskich na Ukrainie. W przeddzień, celem skoordynowania działań, p. Swietłana spotkała się z Wandą Pawłową – kierownikiem sekcji opieki nad polską parcelą Cmentarza Bajkowa przy KNKSP „Zgoda”, która pokazała na cmentarzu miejsca pochówku znanych osobistości.

W sobotnich pracach porządkowych wzięło udział kierownictwo MSPPU i członkowie Zarządu. Tradycyjnie w akcji na Cmentarzu Bajkowa uczestniczyli przedstawiciele Ambasady i Konsulatu RP na Ukrainie, m.in. Zastępca Ambasadora RP na Ukrainie Michał Giergoń i Konsul RP Radca Jacek Goćłowski.

Na zakończenie tej szlachetnej akcji Zastępca Ambasadora RP w Kijowie Michał Giergoń podziękował jej uczestnikom za ofiarny trud.

Julia FERENCOWA
Wiceprezes KNKSP „Zgoda”
Rościsław RACZYŃSKI
Członek Zarządu Głównego ZPU



Zmęczeni, ale usatysfakcjonowani uczestnicy akcji porządkowania mogił na Cmentarzu Bajkowa

ZAPALONO ZNICZE I POCHYLONO GŁOWY...

1 listopada br., w dniu Wszystkich Świętych polska społeczność Kijowa, w tym przedstawiciele organizacji zrzeszających Polaków w strukturach Związku Polaków na Ukrainie i Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, uczniowie Kijowskiego Liceum Fizyczno-Matematycznego nr 145, wzięli udział w oficjalnych uroczystościach zorganizowanych z tej okazji przez Ambasadę RP na Ukrainie, Ataszat Obrony i Wydział Konsularny w Kijowie, Instytut Polski, firmę „Plastics-Ukraine” i dyrekcję Państwowego Memoriału Historycznego „Bykowniańskie groby”.

Pierwsze kwiaty i znicze złożono oraz odmówiono modlitwę przed odnowionym niedawno krzyżem upamiętniającym miejsce egzekucji polskich powstańców styczniowych, więzionych przez carat w tzw. Skośnej Kaponierze Twierdzy Kijowskiej.

Następnie oddano hołd ofiarom stalinowskiego Wielkiego Terroru, spoczywającym na Polskim Cmentarzu Wojennym i ukraińskiej części tego przeogromnego miejsca masowej zagłady w podkijowskiej Bykowni. Złożono wieńce, zapalono znicze, odmówiono modlitwę i uderzono w Katyński Dzwon Pamięci.

W przededniu dnia Wszystkich Świętych z inicjatywy Stowarzyszenia „Zgoda” kijowscy Polacy uprzątnęli groby zasłużonych rodaków i żołnierzy 5 i 6 Pułku Piechoty Pierwszej Dywizji Legionów Polskich, poległych w walkach o Kijów w 1920 roku i spoczywających dziś na Cmentarzu Bajkowa. Przedstawiciele Ambasady na czele z Zastępcą Ambasadora Michałem Giergoniem i delegacje towarzyszące złożyły wieniec przed świątecznie udekorowanym krzyżem dominującym nad kwaterą 114 poległych Bohaterów.

W czasie Mszy świętej, celebrowanej w południe przed zrujnowaną kaplicą w polskiej dzielnicy cmentarza, wikariusz parafii św. Aleksandra w Kijowie ks. Michał Brankiewicz powiedział: *„Ci, którzy oddawali swe życie za polskość, za naród, za wiarę, byli to ludzie, którzy czynili to nie dla siebie, lecz dla przyszłych pokoleń, w tym i dla nas. To, że dziś celebrujemy Mszę świętą, jest pewnym znakiem, że patriotyzm, tożsamość narodowa, polskość są bardzo silnie związane z religią, z wyznaniem, z wiarą, która pomogła nam dzisiaj zebrać się tutaj razem i wspominać tych wspaniałych ludzi, którzy złożyli tak wysoką ofiarę w imię wartości nadrzędnych”*.

Informacja własna



Na Cmentarzu Bajkowa, przed kwaterą, gdzie spoczywa 114 legionistów odmówiono modlitwę i w holdzie pochyłono głowy

POEZJA ŁĄCZY NARODY

W dniach 8-9 listopada br. w Użhorodzie, które od 2008 roku jest miastem partnerskim Krosna (województwo podkarpackie), odbywała się Międzynarodowa Impreza Literacka – KARPACKA WATRA 2018.

Krosno i Polskę reprezentowało dwóch poetów – Marek Petrykowski i niżej podpisany. Mieliśmy okazję zaprezentować w miejscowym teatrze nasze wiersze przetłumaczone na język ukraiński przez Dorotę Jaworską z Kijowa.

Oprócz znanych poetów z Ukrainy w imprezie wzięli udział twórcy ze Słowacji, Czech, Polski i Węgier.

Na Użhorodzkim Narodowym Uniwersytecie zorganizowano niezwykle interesujące spotkanie z poetami i ich twórczością.

Uczestnicy KARPACKIEJ WATRY 2018 złożyli kwiaty pod pomnikiem Tarasa Szewczenki.

Impreza odbywała się pod patronatem Ministerstwa Kultury Ukrainy i Związku Poetów Ukrainy.

Wacław TUREK



Herb Użhorodu



Herb Krosna



KARPACKA WATRA 2018. Na zdjęciu od lewej: Wacław Turek, Wiceminister Kultury Ukrainy Jurij Rybaczuk, Marek Petrykowski

OJCOM NASZYM – W HOŁDZIE

TEGO DNIA jak ziemia deszczu wyglądali nasi Ojcowie. Przez długie 123 lata. O TEN DZIEŃ walczyli z bronią w ręku. Za TEN DZIEŃ składali w ofierze to co najdroższe – własne życie. Za TEN DZIEŃ płacili więzieniem i zesłaniem. W oczekiwaniu TEGO DNIA jak skarb najdroższy chronili swoją wiarę, swój język, kulturę i tradycję. Przez długie 123 lata...

1 listopada 2018 roku w 100. rocznicę Odzyskania Niepodległości przez Rzeczpospolitą współcześni, którym przyszło żyć i pracować w Kijowie: pracownicy Ambasady RP na Ukrainie, Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie, Attachatu Wojskowego i przedstawiciele polskich organizacji polonijnych – godnie uczcili tę Wspólną Datę.

Rankiem odmówiono modlitwę, złożono wieńce i kwiaty, zapalono znicze na mogile żołnierzy 1 Dywizji Piechoty Legionów. Pochylnono głowy w hołdzie 114-tu dzielnym legionistom, którzy spoczęli tutaj, na kijowskim cmentarzu. Z dała od Ojczyzny...

Następnie uczestnicy uroczystości żałobnych na czele z JE Ambasadorem RP na Ukrainie Janem Piekło udali się do Memoriału w Kijowie-Bykowni, by i tutaj

swoją obecnością, kwiatami i zapalonymi zniczami zaświadczyć: PAMIĘTAMY! Pamiętamy o Waszej ofierze złożonej na Ołtarzu Ojczyzny!

Kolejnym etapem pielgrzymki śladami bohaterstwa Ojców była stołeczna konkatedra pw. św. Aleksandra, gdzie pod przewodnictwem JE biskupa Witalija Krywickiego została odprawiona uroczysta Msza święta w intencji Ojczyzny, po której odbył się wzruszający koncert.

Wieczorem w wypełnionym po brzegi Kijowskim Teatrze Opery i Baletu im. Tarasa Szewczenki odbyła się prapremiera spektaklu operowego „Powrót Manru” Ignacego Jana Paderewskiego.

Ten wyjątkowy dzień, DZIEŃ SETNEJ ROCZNICY ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI PRZEZ RZECZPOSPOLITĄ POLSKĄ, zakończyło w Kijowie przyjęcie wydane przez Ambasadora Nadzwyczajnego i Pełnomocnego na Ukrainie Jana Piekło, podczas którego wzniesiono toast za pomyślność Polski i Polaków.

*Dorota JAWORSKA
Zdj. Glib Bakaliński*



Delegacja na czele z JE Ambasadorem RP na Ukrainie Janem Piekło złożyła wieńce na Cmentarzu Wojennym w Bykowni

BREXIT CORAZ BLIŻEJ

Które firmy z Polski ucierpią najbardziej

– Opuszczenie przez Wielką Brytanię UE oznacza fundamentalną zmianę dla polskich przedsiębiorstw. Najwięcej stracić mogą sektory: transportowy, motoryzacyjny, elektromaszynowy, mechaniczny i spożywczy – mówi **Marcin Ociepa**, wiceminister przedsiębiorczości i technologii, w rozmowie z Polską Agencją Prasową. Jego zdaniem brexit może też zachęcić Polaków do powrotu do kraju.

– *Co brexit może oznaczać dla polskich przedsiębiorców?*

Marcin Ociepa: Odpowiedzi na każde pytanie o brexit powinno się zaczynać od słów: to zależy. Na pewno brexit oznacza zmianę – fundamentalną. Wszystko zależy od tego, jaki scenariusz dojdzie do skutku. Jeśli mówimy o scenariuszu *wyjścia miękkiego*, czyli tzw. *deal settlement*, to mówimy o tym, że Unia, w tym Polska, wypracuje warunki współpracy, które ustawią Wielką Brytanię w roli specjalnego partnera w UE. A jakie to będą warunki – zobaczymy, zależy od negocjacji.

Jest też drugi scenariusz – tzw. *no deal*, który zakłada, że Wielka Brytania nieuchronnie 30 marca 2019 r. przestanie być państwem członkowskim UE wraz ze wszystkimi tej sytuacji konsekwencjami. W związku z tym Wielka Brytania stanie się państwem trzecim. Krajem, który nie jest już jedną częścią unii celnej, unii gospodarczej, gdzie obowiązuje wspólny rynek, swoboda przepływu towarów, usług czy osób. To ma bardzo konkretne wymierne skutki dla działalności gospodarczej.

– *A jaka część polskiej gospodarki jest zaangażowana na rynku brytyjskim?*

Marcin Ociepa: Wielka Brytania jest dzisiaj naszym trzecim partnerem handlowym. To się na przestrzeni lat zmieniało. Wielka Brytania rywalizuje tu z Republiką Czeską. To jest zawsze drugie albo trzecie miejsce – znaczące dla nas. Obroty – kiedy mówimy o eksporcie polskich firm na Wyspy – to są kwoty przekraczające 13 mln euro, czyli prawie 60 mln zł. To bardzo znaczące środki finansowe i bardzo znaczący udział w eksporcie.

– *Co powinni zawczasu zrobić polscy przedsiębiorcy, jak się powinni do brexitu przygotować? Czasu jest mało.*

Marcin Ociepa: Jest bardzo mało czasu, a kolejne etapy wyjścia z UE będą następować po sobie w niewielkich odcinkach czasowych. Bardzo późno dowiemy się, czy będzie porozumienie, czy go nie będzie.

Przedsiębiorcy powinni sobie zadać trzy podstawowe pytania dotyczące kwestii: cel; pozwoleń, certyfikatów; miejsca w łańcuchu dostaw. Jednym słowem, wychodzimy z unii celnej i będą cła na różne towary, w różnych branżach różne. Trzeba mieć tego świadomość i te kwestie śledzić. Jakie one będą, zależy czy będziemy mieli scenariusz wyjścia miękkiego (*deal scenario*) czy twardego (*no deal scenario*).

Druga kwestia to certyfikaty, pozwolenia, akredytacje, czyli cała masa dokumentów unijnych, które w UE są jednolite, ale po wyjściu Wielkiej Brytanii w wielu obszarach trzeba będzie na nowo się starać o różnego rodzaju pozwolenia, certyfikaty, które są wydawane przez wiele instytucji brytyjskich. Bez tych dodatkowych dokumentów nie będzie możliwe prowadzenie działalności gospodarczej w partnerstwie handlowym z podmiotami z Wielkiej Brytanii.

Trzeci aspekt to łańcuch dostaw. Fundamentalne pytanie, które sobie powinien zadać polski przedsiębiorca to: czy ja handluję z Wielką Brytanią, czy mam partnerów handlowych w Wielkiej Brytanii. Wbrew pozorom nie jest to wcale proste pytanie. Być może jacyś polscy przedsiębiorcy mają swoich partnerów w Niemczech, we Francji, w Czechach, ale są tylko dostawcami produktów albo półproduktów, które tam docierają, ale składają się na zupełnie inną całość. Czyli na samym końcu tego łańcucha dostaw może być Wielka Brytania. Brexit na pewno zerwie ileś łańcuchów dostaw i polski przedsiębiorca może nie mieć bezpośrednich relacji z partnerem brytyjskim, ale jeżeli zostanie zerwany łańcuch dostaw, prawdopodobnie te kontrakty, które miał z partnerem niemieckim, francuskim czy czeskim mogą zostać też zerwane. Polscy przedsiębiorcy powinni mieć tego świadomość.

– *Który sektor może ucierpieć najbardziej w wyniku brexitu?*

Marcin Ociepa: Sektor transportowy – kiedy mówimy o usługach. Kiedy mówimy o towarach – sektor motoryzacyjny, który ma największe znaczenie w obrotach handlowych, ale także elektromaszynowy, mecha-

niczny, spożywczy. Jednak nie chciałbym mówić, że te sektory na sto procent najbardziej ucierpią. Bo w niektórych tych obszarach być może dojdzie do porozumienia, które będzie korzystne dla polskich przedsiębiorców. Trzeba to śledzić.

Największy wolumen firm i obrotów handlowych jest w tych sektorach, które wymieniłem. Więc w sposób szczególny należy zachować czujność. Jeśli mówimy o usługach transportowych, to polskie organizacje pracodawców zrzeszające firmy transportowe, które są obecne na rynku brytyjskim, na szczęście są bardzo dobrze zorganizowane. Od wielu miesięcy biorą udział nie tylko w konsultacjach, spotkaniach, które organizujemy od dwóch lat w resorcie przedsiębiorczości i technologii, a wcześniej rozwoju, ale same organizują konferencje, wydają publikacje, które mają uczyć pracodawców na brexit i to, z czym będzie się on wiązał. Ta branża jest nastawiona na czujność, jeśli chodzi o konsekwencje brexitu i warto postawić ją za wzór innym branżom.

– *Czyli brexit jest groźny dla polskich firm transportowych. Nawet jeśli będzie porozumienie?*

Marcin Ociepa: Polski rząd nie jest tu w stanie zastąpić przedsiębiorcy, bo mówimy o potężnej skali gospodarki: o wszystkich sektorach, o firmach mikro, małych, średnich i dużych. Mówimy wreszcie o tych, którzy są w łańcuchu dostaw bezpośrednio związanym z Wielką Brytanią, ale też o tych, którzy pośrednio.

Na samym końcu jest przedsiębiorca, który musi zweryfikować prowadzenie działalności gospodarczej, być może zrezygnować. Może cła sprawią, że będzie musiał zmienić profil swojej firmy, rynek. To niesie fundamentalne zmiany. Tę pracę musi wykonać sam przedsiębiorca. Ale nasze ministerstwo wspólnie z MSZ, a także każdy polski minister, będzie zaangażowane w to, żeby pomóc przedsiębiorcom.

– *A czy są branże, które mogą obrócić brexit na naszą korzyść?*

Marcin Ociepa: Brexit oznacza zmianę, ale niekoniecznie katastrofę. Gospodarka, rynek nie znosi próżni. Pytanie, jak będziemy mogli z tego skorzystać, jak zarobić na brexicie – szukamy takich dróg. Choć uważamy brexit za złą decyzję – i dla Wielkiej Brytanii, i dla UE – to szanujemy decyzję, którą Brytyjczycy podjęli.

Jest grupa firm, która się będzie przenosić z Wielkiej Brytanii, żeby być w państwie członkowskim UE. Warszawa jest otwarta na tego typu inwestycje, na nowe podmioty gospodarcze, które zapraszamy – np.



instytucje finansowe. Dzisiaj rynek *fintech* w Polsce jest czołowy, jeśli idzie o UE. Nie mamy się czego wstydić. Ekosystem prawny, który został przez nas przygotowany: strefy ekonomiczne, Konstytucja Biznesu, Konstytucja Nauki – premiuje inwestycje, współpracę świata biznesu i nauki, a to może przyciągnąć nowych inwestorów, którzy chcą się przenieść z Wysp Brytyjskich.

To zmieni też pewne łańcuchy dostaw, branże – w kilku obszarach, ale to wciąż jest wielką niewiadomą. Na pewno ważne jest nastawienie, że zmiana nie musi oznaczać katastrofy. Ona po prostu oznacza nowe otwarcie i powinniśmy być na to gotowi.

– *Jak brexit odbije się na Polakach, którzy mieszkają, uczą się, pracują, prowadzą firmy w Wielkiej Brytanii?*

Marcin Ociepa: To ciągle nie jest zamknięty obszar negocjacyjny. Brytyjczykom zależy na tym, żeby Polacy pozostali na Wyspach Brytyjskich. Tu mamy trochę konflikt interesów. My jako rząd chcemy stworzyć takie warunki w Polsce, które będą zachęcały do powrotów, my zachęcamy naszych rodaków do powrotu, do zakładania tutaj działalności gospodarczej.

Rządowi brytyjskiemu zależy na tym, żeby Polacy zostali na Wyspach, żeby tam prowadzili działalność gospodarczą, żeby tam zakładali rodziny. To oznacza, że Polacy powinni być postawieni w dość komfortowej sytuacji. To znaczy, że o nich zabiegają i politycy Wielkiej Brytanii i w sposób szczególny politycy w Polsce. W związku z tym myślę, że nikt nie będzie tworzył takich niekorzystnych warunków, które mogłyby ich zniechęcać do pozostawania tam. Chociaż część z nich może chcieć wrócić do Polski.

Brexit może być pewnym impulsem do takiej decyzji. Nawet jeśli nie ma to racjonalnego związku z sytuacją ekonomiczną danego rodaka, ale może być bodźcem, powiedziałbym, emocjonalno-politycznym, który może go do tego popchnąć.

Źródło: Wypowiedź dla PAP i publikacja w Google

LIBERIUSZ DARKSZEWICZ

W TROSCE O ZDROWIE CZŁOWIEKA

Wielki grecki filozof Platon (427-347 przed Chrystusem) był jednym z pierwszych uczonych, który wziął pod przysłowiową lupę temat picia, pijaństwa, alkoholizmu. Przy czym, jak przystało na człowieka obdarzonego niepospolitym rozumem, potrafił spostrzegać to zjawisko jako złożone, mające zarówno skomplikowaną etiologię, jak i niejednoznaczne skutki. W pierwszej księdze „Praw” filozof mówił: *„Uczucia przyjemności, przykrości, gniewu, pożądania miłosnego stają się gwałtowniejsze pod wpływem wina. A spostrzeżenia zmysłowe, pamięć, zdolność myślenia i rozumowania raczej zawiodą tego, kto się upije... Popada tedy w taki stan duszy, w jakim się znajdował, gdy był małym dzieckiem... Toteż jest wtedy chyba najmniej zdolny opanować samego siebie... A o kimś takim powiadamy, że to bardzo lichy człowiek. [...] Ten, kto pije wino, staje się natychmiast o wiele pogodniejszy, niż był poprzednio, i im obficiej się nim raczy, tym jest pełniejszy coraz lepszych nadziei i pewniejszy swej mocy... W końcu sam sobie wydaje się mędrcem i wzbiera w nim uczucie bezwzględnej swobody i niezależności, tak iż żadnego nie doznaje strachu i gotów jest bez wahania mówić wszystko, co mu przyjdzie do głowy, a także czynić... W tych więc okolicznościach, w których popadamy w taki nastrój, że stajemy się zanadto zuchwali i butni, trzeba by szczególnie, jak się zdaje, ćwiczyć się w zwalczaniu bezczelności i buty, i lękać się wciąż i mieć na baczności, żeby nie powiedzieć, nie doznać i nie uczynić czegoś haniebnego. [...] Każda rzecz okaże się czymś złym, gdy nie będzie się odbywać pod okiem trzeźwego przełożonego i zwierzchnika. Pijany sternik i każdy, kto kieruje czymkolwiek, gubi wszystko doszczętnie, czy to będą statki, czy wozy, czy armia, czy co by tam jeszcze pozostawało pod jego kierownictwem.”*

W drugiej księdze „Praw” Platon powiada, że *„bogowie ulitowali się nad rodzajem ludzkim skazanym z natury na trud i mokoły i jako odetchnienie po trudach ustanowili dla ludzi święta obchodzone na przemian ku ich czci, dając im, ażeby się podźwignęli, Muzy z Apollinem na czele oraz Dionizosa za towarzyszy i darząc pokrzepieniem podczas tych uroczystości, które z bogami święcą pospołu.”* Racząc się m.in. nie w ostatniej kolejności dobrym winkiem.

Jeśli chodzi o zwyczaj wspólnego biesiadowania obywateli przy winie, zwyczaj bardzo, zdaniem Platona, pożyteczny, to powinien on być ograniczony ścisłymi prze-

pisami prawa. Czytamy więc w wyżej cytowanym dziele: *„Jeżeli ten zwyczaj, o którym mówimy, uprawiać się będzie w jakimś państwie ze zrozumieniem jego wagi, zgodnie z prawami i wyznaczonym porządkiem, jako ćwiczenie w zachowywaniu umiaru, i jeżeli tak samo i według tej samej zasady stronić się nie będzie, również i od innych przyjemności, ale znajdzie się sposób, ażeby nad nimi panować, to można owszem używać wtedy wszelkich takich przyjemności. Jeżeliby jednak wchodzić tu miała w grę tylko pusta zabawa i wolno by było każdemu, kto chce, kiedy chce i z kim chce, pić i co by tam było jeszcze innego uprawiać przy tym, to nie głosowałbym bynajmniej za tym, żeby w państwie pozwalano sobie na upijanie się i żeby w ogóle na to pozwalał sobie taki ktoś.”*

Powłada też mądry Grek, że powinien prawodawca zabronić używania wina wojsku będącemu w trakcie wyprawy wojennej, rolnikom pracującym w polu, niewolnikom i niewolnikom w miastach. I dalej: *„żeby urzędujące władze w ciągu roku urzędowania, sternicy i sędziowie podczas sprawowania swych czynności nie używali wina zupełnie, ani ten, kto się udaje na ważniejsze obrady i nikt w ogóle za dnia, chyba że dla pokrzepienia sił lub z powodu choroby, ani też w nocy, jeżeli chce ktoś wtedy płodzić dzieci, mężczyzna czy niewiasta. I można by tu wyliczyć jeszcze całe mnóstwo okoliczności, kiedy nie powinni pić wina ludzie, którzy mają rozum i dobre prawa. Toteż państwo nie potrzebuje wcale posiadać wiele winnic i jeżeliby miało być ustalone, co należy wytwarzać na roli, i miałby być ujęty w normy cały sposób życia i odżywiania się w państwie, to uprawa wina bodaj najbardziej umiarkowane i skromne zajmowałaby miejsce”...*

Także późniejsi mędracy nie pomijali milczeniem tego „drażliwego” tematu. Na przykład filozof i poeta rzymski Tytus Lukrecjusz Carus (96-55 p.n.e.) w dziele „O naturze rzeczy” powiada:

*„Kiedy człowieka przeniknie
Tęga moc wina i jego żar się rozleje po żyłach,
Wnet członki stają się ciężkie, nogi się płaczą
i chwieją,
Zamiast języka masz kółek, myśl ci się gmatwa
pijana,
Oczy mętnieją, na przemian wrzeszczysz,
złorzeczysz i szlochasz,
Słowem, to wszystko się zdarza”...*



Wcale surowo oceniał spożywanie napojów wysokowych jeden z wielkich Nauczycieli Kościoła Katolickiego Tomasz z Akwinu (1225–1274), który w pomnikowym dziele „Suma teologiczna” pisał: *„Pijaństwo można pojmować dwojako. Może więc oznaczać upicie się, czyli następstwo nadmiernego wypicia wina, powodującego nieprzytomność umysłu. W tym wypadku pijaństwo nie oznacza wina, lecz kalectwo, które ma charakter kary, jako następstwo upadku. Pijaństwo może jednak także oznaczać czynność, przez którą ktoś popada w kalectwo upicia się. Czynność ta może spowodować upicie się dwojako. Albo z powodu zbytnej mocy wina, o czym pijący może nie wiedzieć. Tutaj upicie się może nie być grzechem, zwłaszcza, jeśli pijący nie zawinił niedbalstwem; należy wierzyć, że w ten sposób upił się Noe [...]. Albo z powodu zbytniego pożądania i użycia wina; takie pijaństwo jest grzechem [...]. Pijący, który nie był świadomy mocy wina, nie jest winien grzechu. Podobnie nie poczytuje się za grzech zapraszającemu kogoś do picia, jeśli nie zdawał sobie sprawy z tego, że pijący ma słabą głowę i daną mu ilością upija się. Jeśli jednak zachodziła świadomość u obu, obaj nie są wolni od grzechu”*.

I może warto zaznaczyć, że nie małym zainteresowaniem ten temat cieszył się także w obrębie innych literatur i filozofii.

Buddyzm np. i jego mongolska odmiana *lamaizm* kategorycznie zakazują picia alkoholu w celach rozrywkowych czy pocieszających (konsolacyjnych), dopuszczając jego umiarkowane stosowanie wyłącznie w celach leczniczych.

Klasyczne dzieło tradycyjnej medycyny tybetańskiej „Dżud-szi” określa jako „wino” wszystkie napoje spirytusowe od piwa do wódki (robionej z jęczmienia lub pszenicy). Gatunki wina są przez lekarzy Tybetu pod względem smaku dzielone na przyjemne, kwaśne i gorzkie, a pod względem właściwości na ostre, gorące, grube i szybko wysysane. Napoje tego rodzaju mają szereg pozytywnych stron: po pierwsze, korzystnie oddziałują na funkcje jelit i żołądka, podnoszą w nich ciepło i działają rozwalniająco; po drugie, usprawniają funkcję płuc, wątroby i serca; po trzecie, oczyszczają krew; po czwarte, *„zwiększają sen i czynią umysł bystrym”*. Po tych stwierdzeniach w księdze „Dżud-szi” czytamy następujące zdania: *„Wino, wypite w nadmiarze, zmienia usposobienie, pozbawia rozsądku i wstydu. Działanie wina ma trzy okresy: w pierwszym okresie zamroczenia alkoholowego traci się rozum i wstyd, ale się usiłuje zachować spokój i się wyobraża, że się mówi mądre i prawdziwe rzeczy; w drugim okresie ludzie stają się po-*

dobni do wściekłych słoni, dokonują czynów amoralnych i szalonych; w trzecim okresie traci się przytomność, pada jak snop, i nic nie może się przypomnieć”.

Powstaje jednak naturalne pytanie; skoro picie jest takim złem, dlaczego ludzie – i nie tylko ludzie – tak zapamiętale kochają się w spożywaniu spirytualiów i w ogóle środków odurzających?

Za alkoholem przecież przepadają nie tylko osobnicy należący do gatunku „*Homo sapiens*”, ale też inne istoty ożywione. Jeszcze w XIX wieku brytyjski uczony Tutt ustalił, że samce motyli manifestują skłonność do pijaństwa podczas spijania nektaru tych właśnie kwiatów, które zawierają najwięcej alkoholu fizjologicznego. Podczas gdy samiczki zaspakajają pragnienie pijąc rosę, samce łapczywie rzucają się na kropelki wina, likieru czy nawet wódki, jeśli pokropić nimi podłogę laboratorium. Gdy motyle podpiją, długo pozostają w stanie bezruchu, widocznie ciesząc się ze stanu „nieważkości”. Psy i konie chętnie popijają piwo, małpy zaś prócz tego mogą zagustować także w wódce. Lubią alkohole kozy, świnię, szczury, myszy, a nawet kury. Po upiciu się zwierzęta zachowują się podobnie do ludzi: stają się nieodpowiedzialne i gadatliwe, ruchliwe i nieostrożne, wesołe i nieobliczalne. Gdy komuś dokucza szczególnie sprytny i złośliwy szczur, można go „obezwładnić” dyskretnie podstawiając nieduży talerzyk z alkoholem; po spożyciu środka odurzającego zwierzątko kompletnie zatraci ostrożność, wyjdzie z kryjówki i da się bez trudu złapać lub zabić...

I o to właśnie chodzi: *endorfina*, związek chemiczny stanowiący część składową alkoholi, wywiera działanie euforyzujące i to właśnie uzależnia wielu ludzi od napojów, dających chwilę wytchnienia i radości. Lecz należy pamiętać, iż stan euforyczny trwa w najlepszym razie kilka godzin, po nim zaś następuje stan głębokiej depresji poalkoholowej, powodujący tak wielkie, wręcz egzystencjalne cierpienie, że wiele osób w tym właśnie stanie postanawia odebrać sobie życie. Większość prób samobójczych jest podejmowana w stanie depresji alkoholowej; że już pominiemy w tym miejscu okoliczność, iż spożywanie alkoholu nadwyręża zdrowie, „spala” energię witalną, odbiera inicjatywę życiową, ogłupia, pozbawia wstydu i sumienia.

Ludzie traktowali nieraz wino w kategoriach metafizycznych, a metafizykę – w winnych. Bardzo ciekawie

wypowiadał się też Ibn Al-Farid (1171–1234), który w kasydzie „Wino mistyczne” wywodził:

*„Pijem wino kochance na cześć.
Nim zasiany był winograd,
tym winem duch nasz był pijany.
Czarą księżyc –
A trunkiem jest nam tarcza słońca,
którą otacza opar milego miesiąca.
Sto gwiazd ujrzysz, gdy wino pieni się w szklanicy.
Gdyby nie jego zapach,
Nigdy bym nie znalazł piwnicy,
gdzie ukryte.
I gdyby nie jego blask złoty,
nikt by jego nie wysnił istoty.*

.....

*Wesela nie ma w życiu,
kto trzeźwości synem;
Głupiec ten, co umiera
nie pijany winem.
Niech płacze nad swym losem,
komu żywot minie,
Nigdy ust nie zmaczawszy
w tym rozkosznym winie.”*

Jak wykładają interpretatorzy, pod „winem” powinno się w tym przypadku rozumieć wiarę w Boga lub po prostu Boga. Wiersz zresztą jest piękny, nawet jeśli nie zna się wszystkich jego interpretacji.

A już w zaiste boski sposób gloryfikował wino genialny Omar Chajjam.

W czasach nowożytnych na temat wina i skutków jego używania wypowiadali się już nie tylko poeci, filozofowie, ale też przede wszystkim naukowcy, lekarze; choć przyznać wypada, że te wypowiedzi rzadko były i bywają zupełnie jednoznaczne. Tak np. wybitny rosyjski pisarz i znakomity lekarz w jednej osobie Antoni Czechow pisał: *„Nalogowy pijak rozprawiający o potrzebie prohibicji, bardziej zasługuje na zaufanie niż przyzwoity młody człowiek, który przez całe życie nie pił nic oprócz mleka i lemoniady”*. Antoni Czechow był przenikliwym psychologiem i wiedział, co mówił, choć przecież z drugiej strony jego poglądy nie mogły nie być warunkowane także przez realia kraju, w którym mieszkał. Jeśli wierzyć obliczeniom profesora Ugłowa z Uniwersytetu Nowosybirskiego, w 1905 roku w Rosji wypijano 3,5 litra czystego alkoholu na osobę w skali

rocznej; w 1913 roku – 4,6 litra. W 1914 roku wprowadzono w tym kraju prohibicję, która została zniesiona dopiero w 1925 roku, po śmierci Włodzimierza Lenina. W 1926 roku spożywano tu 0,6 litra alkoholu na osobę rocznie, w 1940 roku – 1,9 litra, w 1952 roku – 1,9 litra, w 1983 roku – 20 litrów, co mniej więcej 2,5 razy przewyższa przeciętny poziom światowy. W 1980 roku każdy mieszkaniec ZSRR wypijał rocznie 60 butelek wódki, a 40 mln osób (co siódmego mieszkańca kraju!) klasyfikowano jako alkoholików. Na skutek tego w 1983 roku 3,5 procent dzieci, które urodziły się w ZSRR, miały ciężkie defekty psychosomatyczne, a 13 procent – wady średniej ciężkości. Liczba szkół dla debili rodzących się w pijących rodzinach w latach 1960–1985 wzrosła przeciętnie ponad dziesięciokrotnie. Ponieważ 30 procent wypitego alkoholu absorbują komórki nerwowe, po czterdziestce u pijaków rozwija się demencja starcza. O ile dochód od sprzedaży alkoholu wynosił rocznie około 40 miliardów dolarów, o tyle straty – 150 miliardów. 40 procent budżetu ministerstwa zdrowia pochłaniała kuracja alkoholików; a 90 procent przestępstw popełniano w stanie nietrzeźwym. W końcu organiczna głupota sięgnęła tak głęboko i wysoko, że w latach 1990/91 Związek Radziecki uległ samodestrukcji, został „zdemontowany” przez własnych rozpijaczonych władców.

Jednym z najznakomitszych reprezentantów alkoholologii swego czasu był w Europie Liberiusz (Liwerij) Darszewicz, urodzony 17 lipca 1858 roku w Jarosławlu, a zmarły 28 marca 1925 roku w Moskwie. Pochodził z polskiej rodziny kresowej herbu „Lubicz”. Był wybitnym neuropatologiem i neurohistologiem o szerokich zainteresowaniach badawczych.

W 1882 ukończył Uniwersytet Moskiewski; w 1888 obronił rozprawę doktorską z zakresu neurookulistyki i został zatrudniony na tymże uniwersytecie w charakterze docenta prywatnego. Od 1892 r. do 1917 r. był profesorem katedry schorzeń psychicznych Uniwersytetu Kazańskiego, gdzie kierował katedrą chorób nerwowych i gdzie też zorganizował klinikę tychże schorzeń oraz pierwszą w Rosji lecznicę dla osób cierpiących na alkoholizm. Od 1917 r. pełnił funkcję profesora Nowo-Jekatierinńskiego Szpitala i dyrektora Żeńskiego Instytutu Medycznego w Moskwie. Był autorem oryginalnych prac z dziedziny anatomii i histologii systemu nerwowego. Jako pierwszy opisał jądro tylnego spojenia mózgu pod przednim kresomózgo-

wiem (tzw. jądro Darkszewicza). Badając zmiany wsteczne w obwodowym systemie nerwowym odkrył na odcinku centralnym struktury, które wcale zasadnie można nazwać „ciałkami Darkszewicza”. Stworzył schemat włókien nerwu żrenicowego. W szeregu artykułów Darkszewicz dowodził, że uwiąd rdzenia (*tabes*) stanowi kiłowe schorzenie systemu nerwowego. Uczony jako jeden z pierwszych badał zjawisko zaniku mięśni przy schorzeniach reumatycznych. Został też autorem pierwszego rosyjskiego podręcznika chorób nerwowych.

Do jego najbardziej znanych publikacji należą m.in. książki: „O przewodnikach światłowego rozdrażnienia siateczki obołoczki gałki na gałkowiedgiatelnym nierwie” (Moskwa 1887); „O tak nazywanym retrogradnym pierierozdżenii peryferyczeskich nierwnych wołokon” (Moskwa 1897); „Rol ziemskiego wracza w borbie s narodnym alkogolizmom” (Petersburg 1900). W 1904 roku w Kazaniu ukazał się jego trzytomowy kapitalny podręcznik akademicki z zakresu chorób nerwowych. Prócz licznych artykułów na tematy szczególne, rozsianych w periodykach rosyjskich, niemieckich, francuskich, angielskich, Darkszewicz wydał m.in. rozprawy „O doniosłości nauki pisania w szkole lewą ręką z medycznego punktu widzenia”, „Koordynacja ruchów”, „Wylew krwi do mózgu”, „Paraliż”, „Przemęczenie”, „Neuroza traumatyczna”.

Szereg publikacji w fachowych periodykach profesor Liberiusz Darkszewicz poświęcił zagadnieniom al-

koholizmu, rozpatrując je w szerokim kontekście społecznym i biologicznym. W tekstach tego uczonego znajduje się mnóstwo interesujących faktów, obserwacji i idei. Liberiusz Darkszewicz wskazywał m.in. na powiązanie picia alkoholu z utratą zdrowia zarówno psychicznego, jak i fizycznego, szczególnie jeśli zaczyna się używać tej trucizny w wieku młodym. Dorosły zapada na uzależnienie alkoholiczne w ciągu 15 lat picia, a dziecko w ciągu zaledwie 3-4. Jak każda inna odmiana narkomanii, alkoholizm jest nieuleczalny: 90 procent kurujących się powraca do nałogu w ciągu jednego roku, reszta – w ciągu trzech lat.

Przeciętnie w świecie udaje się wyleczyć od narkomanii tylko 7-8 procent chorych, ponieważ to schorzenie ma charakter biologiczny. Nauczyciele w szkołach często narzekają na zachowanie poszczególnych uczniów, którzy nie potrafią się uspokoić, skupić na nauce, kontrolować własne ruchy i odruchy. Taki uczeń potrafi skoncentrować się nie dłużej niż na dwie-trzy minuty, ma krótką pamięć i cierpi na tzw. deficyt uwagi. Przeważnie są to chłopcy wyróżniający się daleko posuniętym brakiem skupienia i pilności. Nauczyciele często gniewają się na nich, usiłują „oddziaływać” poprzez prośby, perswazje, naciski lub kary. Ale bez skutku. Wpadają więc w stan prostracji, gdy widzą, że żadne ich wysiłki nie dają długotrwałych pozytywnych skutków, że uczeń, w którego wychowanie włożono tyle wysiłku, nie tylko nie poprawia się, lecz z biegiem czasu staje się coraz „gorszy”. Ta rozpacz pe-

Liberiusz Darkszewicz. Życiorys

Lekarz neurolog i psychiatra, działacz społeczny, obok Biechtieriewa jeden z twórców Kazańskiej Szkoły Neurologicznej. Autor pierwszego rosyjskiego podręcznika neurologii, odkrywca jądra spoidła nadwzgórnego (jądra Darkszewicza).

Urodził się 17 lipca 1858 roku w rodzinie lekarza wojskowego. Jego ojciec, Józef Darkszewicz, syn Józefa, ukończył studia lekarskie jako stypendysta rządowy na Akademii Medyko-Chirurgicznej w Wilnie w 1837 roku ze stopniem lekarza drugiej klasy; następnie był lekarzem batalionowym w Astrachańskim Pułku Karabinierów; w 1869 roku miał stopień sztabslekarza i rangę radcy kolegialnego, a od 1886 roku rzeczywistego radcy stanu.

Liberiusz Darkszewicz w 1877 roku został absolwentem 5. Moskiewskiego Gimnazjum. Studiował medycynę na Uniwersytecie Moskiewskim od 1877 do 1882 roku. Jego nauczycielami byli Babuchin, Zernow, Polunin, Basow, Sklifosowski, Zacharin i Kożewnikow. Pod wpływem tego ostatniego Darkszewicz zdecydował się specjalizować w neurologii. Od 1883 do 1887 roku uzupełniał studia w europejskich klinikach, m.in. u Goltza w Instytucie Fizjologii Uniwersytetu w Strasburgu, laboratoriach neuroanatomicznych Meynerta w Wiedniu i Flechsiga w Lipsku, u Munka i Westphala w Berlinie, i w klinice neurologicznej Charcota w paryskim szpitalu Salpêtrière.

Po powrocie do Rosji 29 lutego 1878 roku habilitował się pod kierunkiem Kożewnikowa na podstawie pracy „О проводнике светового раздражения с сетчатой оболочкой глаза на глазодвигательный нерв”. Po

dagogów jest jednak równie bezpodstawna i bezsensowna, jak wcześniejsza nadzieja na to, że uda się naprawić naturę i zmienić na lepsze to, czego zmienić się nie da. Chodzi bowiem o to, że syndrom braku uwagi stanowi organiczną dysfunkcję mózgu, powstającą najczęściej w okresie prenatalnym, gdy ciężarna kobieta pali papierosy lub spożywa alkohol. Powstałe wówczas zmiany patologiczne w mózgu płodu są nieuleczalne i przejawiają się w życiu już urodzonego dziecka najczęściej jako tzw. wrodzone wady wzroku, krótka pamięć, brak siły woli, niezdolność do samodzielnego myślenia i – przede wszystkim – niemożliwość dłuższego skupienia swej uwagi i wysiłku na jakiegokolwiek racjonalnej działalności. Są to cechy zdeterminowane przez wady organiczne i nie da się ich zmienić, a tym bardziej zlikwidować, przez oddziaływania wychowawcze. I właśnie te dzieci, będące ofiarami głupoty własnych matek, są najpewniejszymi kandydatami na narkomanów (w tym nikotynomanów) oraz na alkoholików, gdyż właśnie one – na skutek osłabionego od urodzenia układu nerwowego – uzależniają się od używek już podczas pierwszego z nimi kontaktu. Są to z reguły ludzie straceni dla siebie i dla społeczeństwa, których uratować przy najlepszych nawet chęciach udaje się tylko w niewielu przypadkach, gdyż nie tylko ich mózg został w okresie prenatalnym uszkodzony, ale na domiar złego zostali oni w tymże okresie, także wbrew swej woli, uzależnieni w łonie matki od środków odurzają-

cych. I z tym uzależnieniem rozpoczynają własne życie, ponosząc surową karę za nie swoją winę, jak to wyraża anonimowy wierszyk z Wileńszczyzny:

*Jeśli palą tytoń matki,
Krótką pamięć mają dzieci.
Gdy zaś piją ich ojcowie,
Mają dzieci pusto w głowie.*

Już dawna historia dostarczała faktów godnych szczegółowego zastanowienia. Wiadomo, że Świątynia w Delfach, powstała około 1600 r. p.n.e., poświęcona została bogini Ziemi – Gai. Legenda głosi, że Apollo, syn Zeusa, zawładnął sanktuarium, zabijając smoka-węża Pytona i przejmując wieszczkę Pytię, która od tamtej pory przekazywała jego wolę, snując w ekstazy uniesieniu swoje przepowiednie. Gaja nie przestała interesować się swoją służką. Gazy wydobywające się z ziemi były bowiem przyczyną niezwyklego stanu kapłanki. Etylen, wydostający się ze szczelin powstałych w wyniku ruchów tektonicznych, był przyczyną delirycznych uniesień Pytii. Siedziała ona na trójnogu w odosobnionym pomieszczeniu świątyni, wdychając opary unoszące się ze szczeliny w ziemi lub unoszące się nad wodami z pobliskich źródeł – tak opisywali wyrocznie starożytni pisarze, między innymi Aj-schylos. Plutarch pierwszy głosił, że opary wdychane przez Pytię były zjawiskiem geologicznym. Wyjaśnienie wydawało się prawdopodobne, ponieważ w rejonie Zatok Korynckiej, w pobliżu której leżą Delfy, jest wiele

śmierci Dmitrija Skałozubowa w 1892 roku objął katedrę neurologii Carskiego Uniwersytetu Kazańskiego, na której pozostał do 1917 roku. W tym czasie założył sześciolóżkową klinikę neurologiczną i laboratorium. Jako pierwszy w Rosji założył klinikę dla alkoholików.

Razem z Biechtieriewem Darkszewicz założył w 1893 roku jedno z pierwszych towarzystw naukowych w Kazaniu, Stowarzyszenie Neurologów i Psychiatrów (Общество невропатологов и психиатров). Był pierwszym redaktorem naczelnym „Kazańskiego Medicynskiego Żurnala” („Казанский медицинский журнал”), wydawanego do dziś. Założył w Kazaniu towarzystwo trzeźwości. Z jego szkoły neurologicznej wyszli Emdin, Faworski, Perwuszyn, Osokin i inni.

W 1917 roku został powołany na katedrę chorób neurologicznych I Uniwersytetu Moskiewskiego. W 1922 roku był jednym z lekarzy konsultujących śmiertelnie chorego Lenina.

W ostatnich dwóch latach życia ciężko chorował i był przykuty do łóżka. Zmarł z powodu uogólnionej miażdżycy i mocznicy w Moskwie, 28 marca 1925 roku. Pochowany jest na Cmentarzu Nowodziewicznym. Wspomnienia pośmiertne napisali Emdin, Tarasewicz i Grinsztejn.

W 1976 roku ukazała się biografia Darkszewicza autorstwa Jakowa Popieljanskiego. 6 grudnia 2002 roku na elewacji Głównego Wojskowego Szpitala Klinicznego im. N.N. Burdenki w Moskwie umieszczono pamiątkowe tablice, honorujące Darkszewicza i Jewgienija Seppa. Okolicznościowe publikacje ukazały się w 100. rocznicę urodzin Darkszewicza.

Był autorem ponad 60 prac naukowych. Jego nazwisko wiąże się do dziś z opisanym przez niego w artykule z 1889 roku jądrem spoidła nadwzgórzowego (jądro Darkszewicza, ang. *nucleus of Darschewitsch*). Dark-

uskoków tektonicznych. Kiedy jednak archeolodzy odkopali świątynię w drugiej połowie XIX wieku, nie znaleźli żadnego pęknięcia gruntu ani też śladu wydobywających się z ziemi gazów. Uznali więc, że twierdzenia Plutarcha były kolejnym mitem dotyczącym starożytnego świata.

Część badaczy była zdania, że miejsca, z którego wydobywały się gazy, nie należy szukać w samej świątyni Apollina, lecz w jej okolicy. Inni myśleli o źródle Kastalia, gdzie starożytni dokonywali ablucji przed wejściem do świątyni, albo o wodach rzeki Pleistos. Tajemnicza „*pneuma*” mogła pochodzić ze szczeliny w oddalonej o pół kilometra na zachód świątyni Ateny. Ostatecznie jednak ustalono, że miejsce, gdzie wydobywały się gazy, leży albo w samej świątyni Apollina, albo tuż obok niej. Skrzyżowaniu dwóch uskoków geologicznych towarzyszyły liczne pęknięcia skalistego gruntu, przez które na powierzchnię mogły się wydobywać odurzające gazy.

W wyjaśnieniu zachowania Pytii pomogła także analiza minerałów znalezionych w okolicy. Na ścianach świątyni uczeni odkryli osady martwicy wapiennej powstałej dzięki aktywności hydrotermalnej ziemi. Podczas ich analizy odnaleziono ślady metanu i etanu oraz innych gazów. Szczególnie intrygującego odkrycia dokonali naukowcy w pobliżu źródła Kerna. Odkryli tam ślady etylenu – gazu bardzo silnie pobudzającego centralny układ nerwowy człowieka, wywołującego wrażenie lekkości i euforii. Etylen, na początku XX wieku

używany jako środek znieczulający, może także wywoływać gwałtowne reakcje organizmu – ataki szału czy delirium. W dużych dawkach może być śmiertelny.

Wedle opisów starożytnych, właśnie jako napady szału i delirium można określić zachowanie Pytii. Plutarch opisuje ponadto śmierć kapłanki, która prawdopodobnie zbyt długo wdychała halucynogenne opary. Określa również ich zapach jako słodkawy, a taki właśnie jest zapach etylenu.

Wpływ alkoholu jest tak silny, ponieważ zmienia on i dezorganizuje całą gospodarkę chemiczną organizmu. Wiadomo przecież, że jesteśmy zbudowani głównie z tych związków chemicznych, które wprowadzamy do naszych organizmów pod postacią pożywienia. Ilościowo najwięcej zawieramy w sobie wody. Dziennie przyjmujemy około 2 litrów tego płynu, w zjadanych pokarmach i wypijanych napojach. Pod względem wagowym organizm ludzki składa się w 70 procentach z wody, a tylko w 30 procentach z ciał stałych. Poza pierwiastkami tworzącymi wodę – wodoru i tlenu – do najważniejszych składników należą węgiel, azot i wapń. W organizmie każdego człowieka znajduje się tyle węgla, że wystarczyłoby do napełnienia 9 tysięcy grafitowych ołówków. Inne pierwiastki występują w niewielkich ilościach, ale odgrywają równie ważną rolę. Są to: sód, potas, chlor, fosfor, miedź, cynk, żelazo, magnez, mangan i jod.

Ciała stałe występujące w ludzkim organizmie należą głównie do trzech rodzajów: białek, węglowoda-

szewicz badał rozmieszczenie i projekcje włókien nerwowych sznurów tylnych, a także zmiany neurozwyrodnieniowe tych struktur, zwłaszcza w kiłowym wiąździe rdzenia.

W latach 1904-11 opublikował trzatomowy pierwszy rosyjski podręcznik chorób układu nerwowego, nazywany „rosyjskim Oppenheimem” (Hermann Oppenheim pozostawił klasyczny podręcznik neurologii, powszechnie stosowany w tym czasie w krajach zachodnich). Rozdział poświęcony chorobom mięśni został później przedrukowany w niemieckim podręczniku anatomii patologicznej układu nerwowego.

Wspólnie z Mislawskim i Razumowskim przyczynił się do powstania rosyjskiej neurochirurgii; za jego profesury w latach 90. XIX wieku utworzono salę operacyjną przeznaczoną do operacji neurochirurgicznych, gdzie w 1907 roku Razumowski dokonał pierwszej w Rosji ekstyrpacji zwoju trójdzielnego.

Jako jeden z pierwszych w Rosji zajmował się tematyką śpiączkowego zapalenia mózgu. Opisał m.in. początek tej choroby z dominującymi objawami psychicznymi.

Podczas pobytu w Wiedniu Darkszewicz poznał w laboratorium Meynerta Sigmunda Freuda, wówczas Privatdozenta neurologii. W marcu 1885 roku Darkszewicz wyjechał do Lipska, obaj spotkali się ponownie w Paryżu. Wspólnie udali się na „Wesele Figara” z Sarah Bernhardt. Rosjanin wyświadczył Freudowi przysługę, publikując w rosyjskim czasopiśmie medycznym „Wracz” artykuł o wynalezionej przez niego metodzie barwienia przy użyciu chlorku złota. Była to prawdopodobnie pierwsza wzmianka o Freudzie w języku rosyjskim. Według słów Freuda z listu do narzeczonej Marthy Bernays, „*dusza [Darkszewicza] była przepelniona ojczyzną, religią i anatomią mózgu*”. Podczas ostatnich tygodni wspólnego pobytu w Paryżu Freud i Darkszewicz wspólnie ukończyli pracę, opublikowaną kilka miesięcy później na łamach „*Neurologisches Zentralblatt*”.

nów i tłuszczów. Wszystkie one są związkami organicznymi – to znaczy, zawierają węgiel, przeważnie atomy węgla powiązane w łańcuchy lub pierścienie. Ponieważ tego rodzaju substancje występują zwykle w materii żywej, nazywamy je związkami biochemicznymi. Białka są głównym elementem strukturalnym komórek, są budulcem skóry i ciała. Węglowodany i tłuszcze są podstawowymi źródłami energii. Proste cząsteczki nieorganiczne, jakie można znaleźć w organizmie, obejmują tak dobrze znane związki, jak chlorek sodu, czyli powszechnie występującą sól, fluorek potasu, używany jako składnik pasty do zębów oraz kwas solny, często wykorzystywany do doświadczeń w laboratoriach szkolnych. Podobnie jak maszyna, organizm ludzki potrzebuje do pracy stałych dostaw energii. Energia jest potrzebna do pracy mięśni i do produkowania nowych związków biochemicznych, bez których wzrost i regeneracja komórek i tkanek byłoby niemożliwe. Jest także niezbędna dla utrzymania właściwej temperatury. Energię pobieramy z pożywienia. Palony kawałek węgla podlega gwałtownej syntezie z tlenem, w wyniku czego powstaje energia w postaci dużej ilości ciepła.

W organizmie żywym paliwo, czyli pokarm, wolniej łączy się z tlenem atmosferycznym, zatem wyzwolana energia nie jest tak duża, by zapoczątkowała proces spalania. W celu dotarcia do komórek pożywienie musi zostać rozłożone na małe cząsteczki, które będą w stanie przedostać się przez ścianki jelit, wędrować krwiobiegiem i przenikać przez błony komórkowe. Następuje to podczas procesu chemicznego zwanego trawieniem. Białka są rozkładane na aminokwasy, węglowodany na cukry, a tłuszcze na glicerol i substancje zwane kwasami tłuszczowymi. Tlen jest transportowany z płuc do komórek przez czerwone krwinki. Czerwone krwinki są bowiem wyposażone w zawierający żelazo pigment o nazwie hemoglobina, który może luźno łączyć się z tlenem.

Reakcje biochemiczne odpowiedzialne za rozkładanie złożonych cząsteczek na związki prostsze są zwane reakcjami katabolicznymi, reakcje obejmujące syntezę, czyli budowanie cząstek złożonych, na przykład tłuszczów – reakcjami anabolicznymi. Oba wymienione rodzaje reakcji razem wzięte tworzą metabolizm organizmu – jego system przemiany materii.

Większość reakcji chemicznych zachodzących w komórkach przebiega etapami. Na przykład glukoza łączy się z tlenem w około 30 etapach. Reakcje chemiczne dostarczają organizmowi energii oraz dwutlenku węgla

i wody jako produktów ubocznych. Gdyby cała energia została wydzielona równocześnie, komórka obumarłaby z powodu przegrzania. Z tego względu energia jest wyzwolana w małych ilościach i zostaje natychmiast zużyta do produkcji związku zwanego kwasem adenylozotrójfosforowym.

Budowanie nowych cząsteczek białek jest o wiele bardziej skomplikowane od syntetyzowania nowych tłuszczów czy węglowodanów. Każda cząsteczka białka jest zbudowana ze związków organicznych zwanych aminokwasami, połączonych ze sobą w ściśle określonej kolejności – sekwencji. Istnieją 23 aminokwasy białkowe, z czego tylko 14 jest produkowanych przez organizm. Pozostałe organizm otrzymuje z pożywieniem.

Cząsteczka białka może powstać z kilkuset cząsteczek aminokwasów. Na przykład białko znajdujące się we krwi, hemoglobina, zawiera ich 574. Do wyprodukowania wielu tysięcy różnych białek w organizmie, z których każde charakteryzuje się inną sekwencją aminokwasów, potrzebne są także związki biochemiczne z innej grupy – kwasy nukleinowe. Dwa główne rodzaje kwasów nukleinowych to kwas dezoksyrybonukleinowy (DNA) i kwas rybonukleinowy (RNA).

Każdy z nich składa się z długiego łańcucha cząsteczek cukru, do którego jest przymocowany nukleotyd – pierścień atomów węgla i azotu. DNA wygląda jak dwa długie łańcuchy skręcone w spiralę, poprzecinane nukleotydami, w wyniku czego cała olbrzymia cząsteczka wyglądem przypomina skręconą drabinę.

Sekwencja trzech nukleotydów na łańcuchach DNA tworzy specjalny kod, który determinuje, w jakiej kolejności aminokwasy mają być łączone ze sobą w celu utworzenia cząsteczek białka. Jest to tzw. kod potrójny. Niektóre aminokwasy mają więcej niż jeden kod potrójny. Skoro białka są cząsteczkami budulcowymi organizmu, a jako enzymy kontrolują przebieg procesów metabolicznych, oznacza to, że kod DNA determinuje wygląd, wzrost i funkcjonowanie organizmu. Wynika stąd, że DNA stanowi materiał genetyczny materii żywej. Zawiera matrycę chemiczną, która przekazuje dzieciom charakterystyczne cechy rodziców.

I oto jeśli do tak skomplikowanych mechanizmów funkcjonowania organizmu przenika „Terminator” w postaci toksycznego alkoholu, skutki stają się przerażające, a cały misterny proces wymiany materii ulega gwałtownemu zakłóceniu lub destrukcji.

Odsetek zapadających na obłąkanie z powodu chronicznego alkoholizmu dochodzi do 42 procent. Ten stan stanowi grunt, na którym obficie krzewią się godne pożałowania zjawiska społeczne, znajdujące się ze sobą w ścisłej więzi, mianowicie z jednej strony pauperyzm i przestępczość, z drugiej – obłąkanie. Ostatnie uwarunkowane jest tym, że alkoholik nosi w sobie cechy tak spotęgowanego zwyrodnienia fizycznego i psychicznego, że pod wpływem zupełnie nieznacznych przyczyn ulegają zakłóceniu regulatywne funkcje ośrodków psychicznych, powstają mniej lub bardziej trwale i ostre psychozy. Prócz tego zwyrodnienie alkoholika przekazywane jest na jego potomstwo, u którego psychozy, padaczka, wodogłowie są nierzadkim zjawiskiem. Niekiedy niepoahamowana żądza picia alkoholu przechodzi z rodziców na dzieci. Rozpowszechnianiu się alkoholizmu sprzyja taniość napojów, dostępność ich i niska jakość, jak też picie wódek a nie np. piwa czy win gatunkowych. Wódka jest najbardziej niszczącą odmianą alkoholu, dlatego że zawiera w sobie znaczną domieszkę trucizn, których wydalenie producentów kosztowałoby zbyt drogo. Producenci świadomie robią więc i sprzedają alkohole toksyczne.

Wybitny uczyony żydowski Cesare Lombroso w słynnym swym dziele „Geniusz i obłąkanie” twierdził: *„Nie tylko pijacy nałogowi pozostawiają w spadku potomstwu usposobienie do obłąkania i zbrodni, ale i ojcowie niepijący, jeżeli w chwili spółkowania, podczas którego nastąpiło zapłodnienie, byli pijani, mają zwykle synów epileptyków lub paralityków, obłąkanych albo idiotów, specjalnie zaś często mikrocefalów albo słabych umysłowo, którzy przy pierwszej sposobności popadają w obłąkanie. Jeden pocalunek złożony w stanie pijanym może być fatalny dla następnego pokolenia”*. Uczyony przytacza również wymowny przykład, świadczący o tym, że alkoholizm jest dziedziczną chorobą, pokrewną innym podobnym skłonnościom patologicznym, ta-



kim jak złodziejstwo, bezwstyd, cudzołóstwo, umiłowanie gier hazardowych, występność, rozmaite nałogi, manie, fobie, tendencje samobójcze, idiotyzm, epilepsja, wodogłowie, obłąkanie, otepienie moralne i intelektualne itd. *„Od jednego ojca rodziny, pijaka, Maksa Jucke, w ciągu 75 lat przyszło na świat 200 złodziei i morderców, 280 dotkniętych ślepotą, idiotyzmem, suchotami, 90 prostytutek i 300 niemowląt zmarłych przedwczesnie. Cała ta rodzina kosztowała rząd, licząc szkody i wydatki, więcej niż milion dolarów. Nie jest to fakt pojedynczy... Targuet opowiada o czterech braciach Dufay, którzy byli pijakami prawdopodobnie wskutek przyczyn dziedzicznych: najstarszy wskoczył do wody i utonął, drugi powiesił się, trzeci poderżnął sobie gardło, czwarty wyskoczył na bruk z trzeciego piętra. [...] Pewien pijak, ożeniony z kobietą lubieżną i zepsutą, spłodził syna dziwaka, zmarłego wskutek alkoholizmu, oraz syna tak lekkiego, że bał się nawet nożyczek i dostał później obłąkania”*...

Współczesna nauka rozróżnia – przypomnijmy za „Encyklopedycznym słownikiem psychiatrii” pod red. prof. L. Korzeniowskiego i S. Pużyńskiego (Warszawa 1986, s. 17) – następujące sposoby używania alkoholu etylowego: romański, anglosaski i północno-wschodni. Romański charakteryzuje się częstym spożywaniem w ciągu dnia stosunkowo małych dawek wina. W ten sposób pije się przeważnie w krajach dysponujących winnicami, jak Francja, Hiszpania, Włochy, Portugalia, Grecja. Anglosaski styl jest typowy, jak wskazuje nazwa, dla krajów anglosaskich, a polega na wielokrotnym wypijaniu w ciągu dnia niedużych dawek stężonego alkoholu, rozcieńczonego z reguły wodą lub sokami (tzw. „drink”). Północno-wschodni model picia charakteryzuje kraje skandynawskie, częściowo Niemcy, Rosję, Polskę, Ukrainę, Litwę, Białoruś i inne kraje tego regionu, a polega na nie codziennym, lecz zwykle głębokim upijaniu się jednorazowymi dawkami stężonych trunków, przeważnie wódki.

Wszystkie te style picia mogą prowadzić do alkoholizmu jako formy narkomanii, której, często wbrew swej woli, wiedzy i zasadom, ulegają też osoby inteligentne i odpowiedzialne, kiedy to kształtuje się typ tzw. alkoholika anankastycznego, kompulsywnego lub obsesyjnego.

Profesor Darkszewicz uważał, że państwo, jako struktura stojąca na straży dobra narodu, ma nie tylko prawo, ale i obowiązek bezpośredniego regulowania

tych spraw. Powinno ono kontrolować jakość alkoholu już na stadium produkcji, jak też jej realizacji; zezwalać na handel napojami tylko obywatelom o nieposzlakowanej reputacji moralnej; surowo karać tych, którzy zjawiają się po pijanemu w miejscach publicznych; zorganizować system penitencjarny dla kuracji alkoholików. Jak wiadomo, w ciągu następnych stu lat po wysunięciu tych idei zostały one zrealizowane nie tylko w Rosji, ale i w Europie.

Stojąc w obliczu masowego spożywania alkoholu przez ludność kraju profesor Liberiusz Darkszewicz twierdził, że najlepiej byłoby go w ogóle nie spożywać, ale skoro jest to niemożliwe, to warto byłoby nauczyć się pić umiarkowanie i kulturalnie.

Z alkoholem jest widocznie tak, że jeden kieliszek nalewa człowiekowi Bóg – dla zdrowia; drugi człowiek nalewa sam sobie – dla wesołości; trzeci napelnia szatan – dla szaleństwa. Ale jest to też niejako naturalna eskalacja zła, gdy z każdego poprzedniego etapu prawie koniecznie wyrasta kolejny, jeszcze groźniejszy. Nie przypadkiem w sposób paradoksalny profesor Benedykt Dybowski twierdził, że „łatwiej uzyskać abstynenta z nałogowego alkoholika, niż z tak zwanych «umiarkowańców», są oni najgorsi wrogowie abstynencji” ...

Jest tragiczną okolicznością, że alkoholizmowi bardzo często ulegają ludzie inteligentni i twórczy. Wówczas powstaje sytuacja, którą Osip Mandelsztam opisał żartobliwie jak następuje:

„A doma – rujanju kryłatoj,
Ot jarosti bledna,
Wstrieżajet pjanogo Sokrata
Surowaja žena!”

Istotnie, pijaństwo zawsze komplikuje życie rodzinne, a osobę pijącą prowadzi na manowce. Na przykład znany ekonomista i filozof żydowski Karol Marks również był nałogowym alkoholikiem i satanistą. Okresy regularnie powtarzającego się nadużywania trunków trwały po około dwa tygodnie; w przerwach między nimi teoretyk komunizmu mocno pracował, pisząc w sumie około 100 książek. Jego ulubiona córka Laura wyszła za mąż za socjalistę Paula Lafargue'a i popełniła razem z nim samobójstwo. Inna córka Marksa, Eleonora, wyszła za mąż za satanistę Maksa Evelinga, z którym też postanowiła popełnić samobójstwo, i rzeczywiście zmarła po zażyciu trucizny, ale mąż w ostatniej chwili wycofał się z gry.

Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że byli też w dziejach nauki uczeni mężczyźni, lekarze i biologowie,



którzy raczej bagatelizowali zagrożenie alkoholizmem, a bywali nawet zwolennikami umiarkowanego i „kontrolowanego” spożywania napojów gorących czy innych środków odurzających, przywracających człowiekowi – choćby przejściowo – komfort psychiczny i pewność siebie wpośród rozwichrzonego życia.

Doktor Józef Hornowski np. w swej pracy „Samoobrona organizmu” zamieszcza następujące dane: „Gdy zapytano chirurga z Lotaryngii Politimana, czemu przypisuje swoją długowieczność (miał wtedy 115 lat), odpowiedział, iż temu, że od dwudziestego roku życia codziennie upija się. Takież odpowiedzi dali Joanna Obst w 115 roku życia oraz Draakenberg, który w 130 roku życia chciał się żenić z młodą dziewczyną... Miss Noy na także pytanie odpowiedziała w wieku 107 lat, iż długowieczność swoją zawdzięcza temu, że nie wypuszcza z ust fajki, którą pali od dwunastego roku życia. Inni, którzy dochodzili do wieku stu kilkunastu lat, przypisywali to brakowi ruchu, chwając się, że w ciągu dnia ruszali się najwyżej przez 10 minut” ... Z tych słów widać, że na osobistych wrażeniach trudno opierać jakiegokolwiek wnioski. Tym bardziej, że na pewno jeden i ten sam czynnik w jednej sytuacji może szkodzić, w innej – pomagać, jednego człowieka – uleczyć, innego znów – zabić...

Z czego nie wynika oczywiście, że nie ma tu żadnych reguł i prawidłowości. Umiarkowany lecz stały wysiłek fizyczny, bieg, ćwiczenia gimnastyczne, przebywanie na wolnym powietrzu, powściągliwość w jedzeniu i picu są przez całą medycynę uznawane za czynniki mogące przedłużyć ludzkie życie. Przekonywująco pisał o tym w swych książkach wybitny neuropatolog i alkohololog, profesor Liberiusz Darkszewicz, którego 160. rocznicę urodzin obchodzi międzynarodowa społeczność naukowa.

Dr Jan CIECHANOWICZ

BRONISŁAW PIŁSUDSKI

W związku ze stuleciem niepodległości Państwa Polskiego proponujemy przypomnieć sobie sylwetki Polaków, którzy, zesłani przez władze carskie na Syberię i Daleki Wschód, stali się wybitnymi badaczami ludów azjatyckich lub odkrywcami nowych gatunków flory i fauny. Zaczniemy od Bronisława Piłsudskiego, który w Polsce nie uzyskał sławy swojego brata, ale w nauce światowej zdobył wysokie miejsce.

Urodził się 2 listopada 1866 r. (21 października według starego stylu) w Zułowie powiatu święciańskiego na Wileńszczyźnie, w szlacheckiej rodzinie Józefa Wincentego Piłsudskiego i Marii z Bilewiczów. (Ojciec w czasie Powstania Styczniowego był komisarzem Rządu Narodowego w powiecie kowieńskim.) Otrzymał imiona Bronisław Piotr. Miał pięciu braci (Józef, Adam, Kazimierz, Jan, Kacper) i cztery siostry (Helena, Zofia, Maria, Ludwika). Bliźniacy brat Piotr i siostra Teodora zmarli w niemowlęctwie. Gdy dom spłonął, rodzina Piłsudskich przeniosła się w 1874 r. do Wilna. Ojciec prowadził firmę dorozkarską. Bronisław wstąpił tu do gimnazjum (1877 r.). Wraz z bratem Józefem zorganizował kółko samokształceniowe „Spójnia”, w którym uczniowie czytali zakazaną literaturę polską. Za to został relegowany z gimnazjum. Po śmierci matki w 1884 r. wyjechał do Petersburga, gdzie ukończył gimnazjum i zaczął studiować prawo na uniwersytecie (1886 r.). Działał w tajnej organizacji „Narodna Wola” z Aleksandrem Uljanowem – starszym bratem Włodzimierza Uljanowa, czyli późniejszego Lenina. Za przygotowywanie zamachu na życie cara Aleksandra III obydwaj otrzymali wyroki śmierci. Uljanow i czterej konspiratorzy zostali powieszani, a Bronisławowi Piłsudskiemu wyrok zmieniono na 15 lat katorgi i zesłania. Za zmianę wyroku rodzina Piłsudskich zapłaciła duże sumy. W tym celu musiała sprzedać to, co zostało z folwarku Zułów, a także inne majątki. Za to samo nieco łagodniejszy wyrok otrzymał młodszy o rok Józef: został zesłany na 5 lat do Kireńska u ujścia Kirengi do Leny na Syberii.

W czerwcu 1887 r. Bronisław umieszczony został na statku „Niżnij Nowgorod”. Statek płynął przez Morze Czerwone i wokół Indii. Więźniowie, stłoczeni pod pokładem, w okolicach podrównikowych umierali z pragnienia. Po dwóch miesiącach statek dotarł do wyspy Sachalin.

Po roku pracy przy wyrębie lasu i jako cieśla na Sachalinie Bronisław znalazł zatrudnienie w kancelarii policyjnej nadzorującej kolonię karną. Gdy zyskał sobie sympatię strażników, mógł zamieszkać w pobli-

skiej wsi. Szybko znalazł kontakt z jej mieszkańcami z ludu Gilaków. Ich kultura i styl życia zainteresowały młodego zesłańca. Coraz częściej odwiedzał osady, sporządzał notatki z rozmów, opisując miejscowe zwyczaje i obrzędy. Założył szkołę, w której dzieci uczył języka rosyjskiego. Nauczył tubylców, myśliwych i rybaków, jak sadzić ziemniaki, jak przechowywać rybę w soli. Był ich orędownikiem wobec władzy. Jego zainteresowanie przerodziło się w fascynację tym ludem. Piłsudski jako badacz stał się osobą szanowaną wśród miejscowych Rosjan i Polaków. W 1889 r. z biura gubernatora Sachalina otrzymał zlecenie prowadzenia obserwacji meteorologicznych. Budowa stacji do badań i praca opisująca klimat wyspy zostały wysoko ocenione.

W 1891 r. na wyspę przybył o 5 lat starszy kolega uniwersytecki Piłsudskiego – zesłańca Lew Szternberg, który za udział w „Narodnej Woli” przesiedział już kilka lat w więzieniu w Odessie. On także zafascynował się badaniem miejscowych ludów. Obaj zesłańcy rozpoczęli współpracę, badając język i kulturę Ajnów. Lud ten zamieszkiwał Sachalin i Hokkaido od 7 tys. lat, i miał niezwykłą endemiczną kulturę i unikalne cechy etniczne, co jest wciąż zagadką antropologów.

W 1897 r. zesłanie zamieniono Piłsudskiemu na przymusowe osiedlenie. Towarzystwo Badania Kraju Amurskiego zaproponowało mu pracę w tworzonej muzeum we Władywostoku. Gubernator wyraził zgodę, więc badacz przeniósł się tam w następnym roku i został kustoszem.

W 1902 r. Piłsudski na propozycję Rosyjskiej Akademii Nauk i na jej koszt wyruszył z powrotem na południowy Sachalin, by prowadzić badania etnograficzne wśród miejscowych ludów. Znając już środowisko, pojechał do wodza Ajnów Bafunki we wsi Aj i u niego zamieszkał. W domu usługiwała 18-letnia bratanica wodza o imieniu Czuhsamma. Zaczęła uczyć przybysza swojego języka. Dziewczyna, zwana we wsi *pilka menoko* (piękne dziewczę), tak się spodobała Bronisławowi, że ożenił się z nią, a w weselu uczestniczyła cała wieś. W Aj założył szkołę, w której sam uczył.





Bafunka – wódz Ajnów. Zdj. Bronisława Piłsudskiego

W 1903 r. dołączył do wyprawy Wacława Sieroszewskiego, badającej lud Ajnów na Sachalinie i Hokkaido na zlecenie Imperatorskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego (IRTG). Pisał, że w przejazdach na samym Sachalinie przebył łącznie 4655 wiorst (4967 km). Badacze mieli ze sobą aparat fotograficzny, kamerę filmową oraz nowoczesny wówczas fonograf Edisona, na którym na stu woskowych wałkach nagrywali rozmowy i śpiewy tubylców. W 1903 r. Piłsudski nagrodzony został srebrnym medalem IRTG.

Gdy wybuchła wojna rosyjsko-japońska i wojska Japonii w lipcu 1905 r. zajęły południową część Sachalinu, nadarzyła się okazja, by uwolnić się spod władzy



Ajnowie. Czuchsamma z synem Sukezo na rękach. Zdj. Bronisława Piłsudskiego



Ajnowie na Sachalinie po polowaniu. Zdj. Bronisława Piłsudskiego

caratu i podjąć próbę dostania się do ojczyzny, tym bardziej że brat Józef telegraficznie wzywał go do kraju. Wówczas Bronisław zaproponował żonie, że całą rodziną udadzą się do Polski. Zaoponował Bafunka (wówczas już przyjął japońskie imię Kimura) jako opiekun Czuchsammy. U Ajnów obowiązywał bowiem stary zakaz porzucania swojego kraju przez kobiety. Wódz nie chciał łamać tego zakazu. Piłsudski, decydując się na rozłąkę z żoną i synem Sukezo (córka Kio jeszcze się nie urodziła), opuścił Sachalin i po krótkim pobycie we Władywostoku nielegalnie popłynął statkiem do Japonii na Hokkaido. Zapoznał się tam z wieloma politykami i pisarzami, zwłaszcza z tymi, którzy dwa lata wcześniej gościli u siebie jego brata Józefa. Po 8 mie-



Czuchsamma z młodszą siostrą. Zdj. Bronisława Piłsudskiego

siącach podjął długą podróż morską przez Amerykę, Anglię i Francję do Polski.

Zamieszkał (1906 r.) w Krakowie, który był pod władzą Austrii (spotkał się tu z bratem Józefem). Następnie przebywał w Zakopanem. Prowadził badania etnograficzne mieszkańców Podhala. Zajął się opracowywaniem zapisków, szkiców, fotografii i przedmiotów sztuki ludowej z Dalekiego Wschodu a także wałków fonograficznych. Prace publikował w zagranicznych czasopismach naukowych. Z wykładami odwiedzał Francję, Szwajcarię i Anglię. Związał się z Marią Żarnowską, sympatią z lat młodości, która była w separacji z mężem. Gdy Maria zmarła i gdy wybuchła wojna, przeniósł się do Wiednia, a w 1915 r. do Szwajcarii, gdzie podjął działalność niepodległościową i na rzecz pomocy polskim uchodźcom. Następnie udał się do Francji. Wygłaszał tam wykłady o ludach azjatyckich. 17 maja 1918 r. utopił się w Sekwanie w Paryżu. Część historyków uważa, że było to samobójstwo związane z depresją, inni – że przypadek. Przecież w dniu, gdy zginął, miał na Sorbonie wygłosić wykład o ludach Sachalinu. Pogrzeb odbył się w Montmorency pod Paryżem i tam Bronisław Piłsudski został pochowany. Jego symboliczna mogiła znajduje się w Zakopanem na Pęksowym Brzyzku.

Gdy Bronisław już nie żył, jego brat Marszałek Józef Piłsudski podjął starania, by odszukać rodzinę brata. Spowodował, że ambasador Polski w Japonii wysłał swego sekretarza na Sachalin, ale ten nie znalazł Czuh-sammy, bo w Aj już nie mieszkała, a informacji o nowym miejscu jej pobytu nie uzyskał. Znalazł ją dopiero we wsi Sirohama dziennikarz japoński Nonaka Fumio. Była ślepa i wciąż oczekiwała powrotu męża, mimo że upłynęło ćwierć wieku. Dziennikarz nie wyjawiał jej prawdy. Użył nawet podstępu. Aby ją skłonić do zwierzeń, obiecał opowiadanie o niej wysłać mężowi. Dziennikarz opowiadanie zamieścił w książce opisującej życie Ajnów, którą wydał w 1933 r. Czuh-samma samotnie wychowała syna i córkę. (Potomkowie Piłsudskiego do dziś mieszkają w Japonii: w Jokohamie rodzina Sukezo i na wyspie Hokkaido rodzina Kio).

Bronisław Piłsudski opracował słowniki zawierające 10 tys. słów języka ajnu, 6 tys. słów języka gilackiego i 2 tys. słów języka orockiego. Spisał wiele podań i pieśni. Wykonał ok. 300 fotografii przedstawicieli badanych ludów. Prace pisane i fotograficzne Piłsudskiego przechowuje się w zbiorach specjalnych Biblioteki Naukowej PAN w Krakowie. Woskowe wałki zostały wypożyczone z Polski przez Japończyków, którzy przy pomocy specjalnego laserowego urządzenia od-



Uroczysty posiłek Ajnów. Zdj. Bronisława Piłsudskiego

tworzyli z nich mowę i pieśni Ajnów, Gilaków i Oroków z początku XX w. Prace etnografa wydano po polsku, rosyjsku, japońsku i angielsku. W Polsce wyszły „Dzieła zebrane Bronisława Piłsudskiego”. W 2002 r. Poczta Polska wydała znaczek z podobizną B. Piłsudskiego, a w 2008 r. Narodowy Bank Polski wypuścił poświęcone mu monety 2 zł i 10 zł. W 2011 r. powstał film biograficzny o nim pt. „Orzeł i chryzantema”.



Bronisław Piłsudski wśród Gilaków na Sachalinie. Zdj. Bronisława Piłsudskiego

Na Sachalinie w paśmie Szrenka wznosi się Góra Piłsudskiego (419 m n.p.m.). Działa instytut spuścizny Bronisława Piłsudskiego. W 1991 r. przed muzeum krajoznawczym (dawnym pałacem gubernatora japońskiego) w Južno-Sachalińsku stanął pomnik badacza. Pomnik uczonego etnografa odsłonięto w 2013 r. przy Muzeum Ajnów w Shiraoi na Hokkaido w Japonii. Napis po polsku i japońsku głosi: „*Bronisław Piłsudski, 1866–1918, polski zesłaniec, wybitny etnograf, badacz kultury Ajnów i innych ludów Dalekiego Wschodu, przebywał i pracował w Shiraoi w sierpniu 1903 r.*”

Janusz FUKSA

MIŁE MIASTO

Wspomnienia Stanisława Zawadzkiego z okresu przed I wojną światową i tuż po niej są pracą, która w konkursie Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej 1962 r. uzyskała wyróżnienie.

Tekst zilustrowano współczesnymi fotografiami Politechniki Kijowskiej zimą.

Janusz FUKSA

Cudny jest Dniepr przy cichej pogodzie, gdy swobodnie i płynnie poprzez lasy i góry pędzi on pełne wody swe – tak się zaczyna wiersz w prozie napisany przez Gogola. Wiersz ten przychodzi na myśl, kiedy podjeżdża się do Kijowa statkiem. Gęsty pas zieleni na wysokim brzegu osłania miasto i tylko na tle nieba widoczny jest pomnik Włodzimierza z krzyżem, po stronie południowej zamykają widok złote kopuły Pieczerskiej Ławry, zaś od północy w prawo od pomnika rozlega się Padół – niska nadbrzeżna dzielnica Kijowa.

Topografia wysokiego brzegu, na którym ulokował się Kijów, jest tak cudownie wyrzeźbiona przez naturę, że jest on najpiękniejszym miastem w promieniu tysięcy kilometrów. Wiele jest w nim ulic, z których rozpościerają się przed oczyma panoramiczne widoki na całe dzielnice miasta, jak na przykład ulice, które przed 50 laty nazywały się: Bulwarno-Kudriawska, Funduklejowska, Bezakowska, przecznice Kreszczatika: Proriezna, Institutska oraz szereg innych. Jeśli chodzi o wygląd domów, to należy zaznaczyć, że żółto-kremowa cegła z cegielni, otaczających Kijów, jest nadzwyczaj wdzięcznym i efektownym materiałem dla licowania fasad domów, wobec czego stosunkowo mało jest tam elewacji tynkowanych. Architektura domów jest bardzo urozmaicona i, trzeba przyznać, zaprojektowana z dużym gustem. Małe wille, zgrupowane w Lipkach i wykonane w różnych stylach, są piękne. Szczególną uwagę zwraca na siebie willa architekta Grodeckiego (Horodeckiego – *przyp. red.*) egzotyką swej elewacji.

Co zaś do zabudowy Kijowa, to nie sposób pominąć wskazania pewnego błędu, jaki popełniły władze miejskie w czasach odległych, gdy nie istniała jeszcze nauka o urbanistyce; mianowicie nie zakazały one w swoim czasie zabudowy prawej strony (nad skarpą) ulicy Wielkiej Żytomierskiej, co zamieniłoby tę ulicę

we wspaniałą promenadę z cudnym widokiem na Dniepr i otaczające łąki z ujściem Desny.

Położone nad wysoką skarpą brzegu parki, jak Wzgórze Włodzimierskie, Ogród Kupiecki, Ogród Carski – są bardzo atrakcyjnymi miejscami spacerów i odpoczynku. Koncerty orkiestry symfonicznej pod batutą Rudolfa Bulleriana w Ogrodzie Kupieckim były bardzo popularne. W Ogrodzie Carskim był lokal rozrywkowy „Chateau des fleurs”, w którym występowały artystki i artyści śpiewu i tańca. Lokal ten upamiętnił się na pół wieku kilku kolegom z powodu tego, że omal nie przeplaciliśmy życiem zabawy, na której oblewaliśmy w radosnym podnieceniu przyjęcie nas po egzaminach konkursowych do Politechniki w 1905 roku. Zatrucie szaszłykiem, aczkolwiek zakrapiane czerwonym winem, było tak silne, że wszyscy przez miesiąc ciężko chorowaliśmy.

Rok 1905 obfitował w burzliwe przeżycia. W wyniku strajku powszechnego w całej Rosji absolutyzm carski musiał pójść na ustępstwa. Ludność manifestowała na cześć powołanego do życia parlamentu w nowym ustroju konstytucyjnym w postaci *Gosudarstwienniej Dumy*. Na Dumskim Placu w Kijowie zebrał się ogromny tłum, do którego mówcy przemawiali z balkonu ratusza. Na początku wiecu tłum został zaskoczony szarżą kozaków, którzy wcisnęli manifestantów w boczne ulice i na tyły ratusza, jednocześnie batalion piechoty, ustawiony dwuszeregiem u wylotu ul. Mikołajowskiej, dał kilka salw karabinowych do uczestników wiecu, kierując ogień na balkon i do okien ratusza oraz do uciekających z placu manifestantów. Wskutek tej akcji na placu i w ratuszu było wiele osób zabitych i dużo rannych. Chodnikiem po Kreszczatiku szła kompania piechoty i przykładami karabinów tłukła na oślep ustępujących z drogi przyciśniętych do

murów ludzi. Po przejściu przez taką „młóckę”, w najlepszym wypadku, gdy nie było złamania kończyn, trzeba było przez tydzień leżeć w łóżku. Jednocześnie szumowiny społeczne rozpełtały pogrom żydowski i rabowały sklepy i warsztaty pracy.

Ponieważ reakcja społeczna, posługując się dziennikiem „*Kijewlanin*” obciążała winą za strajk, rozruchy i walkę z caratem – Żydów, studentów i masonów, młodzież akademicka była często napastowana przez szumowiny. Wobec strajku tramwajów grupa studentów Politechniki została zaatakowana przez chuliganów w drodze z Politechniki do miasta i zmuszona do cofnięcia się. W warsztatach przy kotłowni porąbaliśmy żelazo zbrojeniowe na pręty metrowej długości i uzbrojeni w takie „kije” ruszyliśmy znowu do miasta, już uformowani w kolumnę, tym razem byliśmy groźną siłą i chuligani nie odważyli się nas zaczepić.

Studenci wyższych uczelni w przytłaczającej większości, bo w trzech czwartych swej masy, byli zasadniczo socjalistami o różnym zabarwieniu narodowościowym, czy też ustrojowym.

Każde stronnictwo miało na ścianach korytarza gmachu głównego Politechniki oszkloną gablotę, w której były wywieszane komunikaty i artykuły dyskusyjne na aktualne tematy natury politycznej i społeczno-ekonomicznej. Przy tych gablotach wrzało jak w ulu, gorące i namiętne dyskusje w licznych gronie trwały do późnego wieczora. Polacy, którzy ze względu na bojkot w owym czasie przez społeczeństwo Poli-

techniki Warszawskiej, stanowili jedną z większych grup w Politechnice Kijowskiej i przejawiali bardzo dużą aktywność. Często urządzali zebrania dyskusyjne w jednej z auli Politechniki, tam też PPS zapraszała na odczyty i dyskusje grupę narodowo-demokratyczną „Polonia”, przy czym namiętności mówców dochodziły do zenitu i często endecy demonstracyjnie opuszczali zebranie.

Dla omówienia ważniejszych kwestii, jak też dla wyborów przedstawicieli społeczności studenckiej odbywały się ogólne wiece w dużej auli audytorium fizycznego, gdzie mieściło się około 100 osób, przy czym aula zawsze była szczelnie wypełniona.

Charakterystyczną cechą tych wieców było, że każdy z mówców zaczynał przemówienie deklaracją przynależności swej do tego czy innego stronnictwa i wygłaszał swe „credo” polityczne. Dużą popularnością cieszyły się wystąpienia naszego kolegi Zygmunta Wojnicz-Sianożęckiego, którego logika rozumowania i cięty dowcip podbijały słuchaczy.

Na podstawie nowej konstytucji wyższe uczelnie były autonomiczne, wobec czego żandarmeria i policja nie miały prawa wstępu bez zgody rektora czy też dyrektora uczelni.

Mówcy na wiecach w gmachu Politechniki korzystali więc z wolności słowa w maksymalnym stopniu, nie zważając na to, że na wiecach były „wtyczki”, które wszystko sobie notowały. Za taką wolność pewnego dnia został aresztowany dyrektor Politechniki prof. Ti-



mofiejew. Następnego dnia na wiecu, który się zebrał w audytorium fizycznym od samego rana, przy imponującej ilości uczestników, postanowiono nie rozchodzić się, dopóki nie zostanie zwolniony dyrektor, mimo że zaopatrzenie w żywność było uciążliwe. Późnym wieczorem zjawił się na wiecu zwolniony dyrektor, co wywołało entuzjazm.

Niedługo cieszyliśmy się z tej wolności. W grudniu 1905 r. autonomiczna Politechnika została zamknięta na rok i trzeba było wracać na prowincję do domów rodzinnych.

Po roku walka caratu z młodzieżą akademicką obostrzyła się. Dość częste były rewizje w mieszkaniach – przeważnie w nocy – i nagminne areszty.

Za posiadanie pokaźnej ilości „arkuszy dyskusyjnych” PPS w celu kolportażu pewien student Politechniki został aresztowany i chociaż nie był on członkiem partii, lecz tylko sympatykiem, musiał odbyć półroczny staż w więzieniu na Łukianowce. Tam rozmyślał nad celowością takiej metody walki caratu ze studenterią, przecież odnosiła ona wręcz odwrotny skutek od zamierzonego. Z reguły cele dla politycznych były osobne od cel dla kryminalistów i były one szkołą socjalizmu. Tam się studiowało Marksa, starsi towarzysze wygłaszali odczyty na aktualne tematy i wykładali podstawy ekonomiki politycznej, tamże nauczył się on wszystkich pieśni rewolucyjnych z „Międzynarodówką” włącznie. Po jego wyjściu z więzienia świa-



topogład rozszerzył mu się i właśnie w tym kierunku, za jaki był karany.

Warto poświęcić trochę uwagi rozrywkom i beztroskiemu spędzaniu czasu wolnego od pracy. W lutym co roku odbywały się w Kijowie „kontrakty”, na które zjeżdżali się przemysłowcy różnych branż, a przede wszystkim cukrownicy. Wówczas zawierane były transakcje na sprzedaż produkcji; na dostawę maszyn i urządzeń oraz dokonywany był werbunek pracowników fachowych i administracyjnych. Jednocześnie na Padole w Domu Kontraktowym odbywał się kiermasz najrozmaitszych towarów, wśród których były atrakcje regionalne, jak wiazemskie pierniki, kazańskie mydła, tulskie samowary itp. W powietrzu unosił się zgiełk nawoływań, zachwalanie towarów i zanikający pisk „umierających diabełków”. W tym karnawałowym okresie odbywało się dużo balów, na których przyjezdni przemysłowcy wprowadzali w świat swe córki, toteż zazwyczaj „kontrakty” kończyły się skojarzeniem niejednej pary małżeńskiej.

Zasługuje na specjalną uwagę bal w Politechnice, urządzony na rzecz niezamożnych studentów. Szczytem reklamy tego balu było rzucenie przez silne reflektory na nisko płynące nad miastem chmury trzech liter „BAL”. Powodzenie balu było niesamowite – publiczność wdzierwała się przez okna. Jedną z ciekawszych atrakcji balu było jednodniowe ilustrowane pismo „Zakliopka”, specjalnie na tę okazję wydane, w którym było dużo ciekawostek, humoru i satyry na ciała profesorskie.

Jeśli chodzi o wypoczynek w okresie wiosenno-letnim, nie można pominąć pięknych zalesionych miejscowości letniskowych położonych dookoła Kijowa, jak Puszcza Wodzica, Swiatoszyn, Bojarka, Darnica i inne. Odwiedzanie tam znajomych i wycieczki w gronie własnego towarzystwa zawsze były wesołe, zdrowe i pobudzające radość życia. Dużą przyjemnością były także wycieczki stateczkiem do Nikolskiej Słobódki, położonej przy moście łańcuchowym po przeciwnej stronie Dniepru. Kto nie należał do „Yacht-Clubu” lub nie miał w nim znajomych członków mógł w Słobódce wyżywać się w sporcie wiosłarskim, wynajmując za tanie pieniądze łódkę na godziny i pływać po zarośniętych odnogach starego koryta Dniepru lub na jego nurcie. Pewnego lata, gdy grasowała w Kijowie epidemia duru brzuszego, władze sanitarne miasta nakażały wyrzucić do Dniepru zawartość dwóch barek w

postaci kilkudziesięciu ton arbuźów. Załoga naszej łódki wyławiała te arbuzy z rzeki i konsumowała je tuż na miejscu. Na szczęście poszło to nam na zdrowie, nikt nie zachorował.

Potrzeby duchowe życia w tak kulturalnym ośrodku jak Kijów, gdzie były skoncentrowane prawie wszystkie ośrodki nauki, kultury i sztuki całej Ukrainy, można było zaspokajać w każdej dziedzinie zainteresowań. Każdy z kolegów chętnie poświęcał noc na stanie w kolejce do kasy Teatru Operowego, aby zdobyć bilety, zwłaszcza gdy chodziło o emocjonalne współzawodnictwo tak znakomitych tenorów jak Sobinow i Smirnow, np. w partii Leńskiego w „Eugeniuszu Onieginie”.

Teatr Dramatyczny Sołowcowa wystawiał sztuki tak klasyczne, jak i współczesne. Dobrana para utalentowanych artystów Kuzniecowa i Szatrowa wzbudzała tu dużo emocji i zadowolenia. Nie można pominąć pewnego przedstawienia w tym teatrze, którego tytuł z biegiem czasu ulotnił mi się z pamięci, a treścią którego było ówczesne życie dziennikarzy i adwokatów. Gwoździem przedstawienia było to, że aktorzy i recenzenci teatralni dzienników kijowskich zamienili się miejscami: sztukę zagrali recenzenci teatralni, wśród których najbardziej cięty krytyk Czagowiec wystąpił w jednej z głównych ról jako „Nieprzemakalny”, zaś aktorzy zajęli fotele recenzentów na widowni. Sztuka była wesoła i publiczność doznała takich emocji, że ten spektakl na długo został w pamięci widzów.

Teatr Polski zorganizowany przez „Ognisko Polskie” przy swoim klubie niekiedy dawał przedstawienia w wynajętej sali, zwłaszcza gdy przyjeżdżał na występy gościnne taki artysta jak Aleksander Zelwerowicz, którego występy były bardzo popularne i mobilizowały całą kolonię polską.

Zaspokajanie własnych potrzeb duchowych nie ograniczało jednak naszych dążeń do wszechstronnego życia kulturalnego, toteż chciało się tę kulturę szerzyć wśród mas, które jej pragnęły, a nie mogły osiągnąć same. Na ulicy Bulwaro-Kudriawskiej znajdowała się „Narodnaja Auditoria”, był to budynek, w którym mieściła się popularna biblioteka i sala odczytowo-koncertowa na około 600 osób. Tam studenci wykonywali wszelkie prace organizacyjne i pomocniczo-usługowe, jak wydawanie książek w bibliotece, uzupełnianie księgozbioru, sporządzanie negatywów i ilustrowanie przeźrocami na ekranie odczytów na tematy naukowe, historyczne i ekonomiczne. Przy tej okazji często dochodziło do namiętnych dyskusji, zwłaszcza z osobami

starszej generacji, których światopogląd był mniej postępowy niż gorących umysłów studenckich. Specjalną atrakcyjnością cieszyły się popularne koncerty, które za bardzo niską opłatą urządzano w każdą sobotę. Artyści występowali w nich honorowo i żeby uprzyjemnić im czas i podziękować za wysiłek, częstowano ich kawą, słodyczami, owocami i winem. Ponadto w przedsiębiorstwie transportowym wynajmowano dwa powozy, którymi studenci przywozili i odwozili artystki i artystów do domu. Ponieważ zgodnie z kontraktami z dyrekcjami teatrów czołowi artyści nie mieli prawa występować publicznie bez zgody dyrekcji, na afiszach koncertów nie wolno im było podawać swoich nazwisk i zazwyczaj ukrywali się oni pod trzema gwiazdkami, więc publiczność z góry wiedziała, że spora ilość numerów pod gwiazdkami oznacza, że koncert będzie na wysokim poziomie i tłumnie waliła do „*Narodnej Auditorii*”. Należy tutaj zauważyć, że kontakt ze światem popularnych artystów, tak w toku pertraktacji o udział w koncercie, jak też podczas przywożenia i odwożenia do domu, był nie lada atrakcją dla naszej grupy studentów. A jeśli któregoś z nas urodziwa aktorka przy pożegnaniu obdarzyła całusem w nagrodę za troskliwą opiekę, był on wniebowzięty.

Wszystko to działo się przed pierwszą wojną światową. Pozostały też miłe wspomnienia związane z Kijowem z okresu po tej wojnie. Warto więc opowiedzieć o letnich wakacjach 1919 roku.

W czasie wojny przez Dniepr i jego dopływ Desnę w szybkim tempie wybudowano dziewięć mostów strategicznych. Nie było czasu ni technicznych możliwości usypania na terenach zalewowych tam ziemnych po obu stronach koryta rzeki, więc wybudowano estakady na drewnianych palach. Na budowę te użyto kolosalnych ilości drewna, gdyż przeciętna długość tych estakad wynosiła około 9 km, a najdłuższa była przy ujściu Prypieti – 13 km.

Przez mosty te żadna armia nigdy nie przechodziła, a po zakończeniu wojny były one uciążliwym balastem, wymagającym kosztownej konserwacji i ochrony przeciwpożarowej, więc każdy resort (komisariat) usiłował przekazać te mosty innemu komisariatowi, a ten się bronił przed ich przejściem.

Wreszcie Przewodniczący Głównemu towarzysz Lenin rozkazał utworzyć komisję z przedstawicieli wszystkich zainteresowanych komisariatów, tj.: Wojennego, Komunikacji, Żeglugi, Budowli Państwowych, Gospodarki Narodowej, Łączności.



Komisja miała przeprowadzić inwentaryzację w naturze wszystkich mostów i protokółarnie wytypować urząd, który miał objąć każdy z poszczególnych obiektów. Komisja składała się wyłącznie z inżynierów w ilości około 20 osób. Przydzielono komisji świeżo odnowiony parostatek z wygodnymi kabinami, zaopatrzone w żywność i inne potrzebne artykuły. Do składu osobowego komisji włączeni zostali także kucharz z pomocnikiem i obsługa.

Procedura przekazywania obiektów była bardzo prosta, zwłaszcza że mieliśmy dokładne plany, więc nie potrzebowaliśmy dokonywać szczegółowych pomiarów, a czasu mieliśmy za dużo, gdyż nie zależało nikomu na przedterminowym wykonaniu programu. Używaliśmy sportów wodnych, plażowania, wycieczek, zajmowaliśmy się rybołówstwem, a niektórzy nawet chodzili na polowanie. W międzyczasie kucharz dokonywał korzystnych transakcji na wsi, wymieniając sól, cukier, naftę i mydło na drób i inne produkty wiejskie.

Takie beztrudne życie trwało przez całe lato. Jeździliśmy od mostu do mostu, niekiedy wracając do Kijowa na dwa dni celem złożenia sprawozdań i uzupełnienia zapasów żywności. Odpisy zdawczo-odbiorczych protokołów posyłałiśmy do domu na prowincję, gdzie żony nasze wykorzystywały je w obronie przed zakusami miejscowych adherentów władzy, którzy przychodzili rekwirować czy to jakieś pomieszczenie, czy coś z mebli. Okazanie im protokołów, które zaczynały się od powołania się na rozkaz Przewodniczącego *Gławispołkoma* robiło wrażenie uspokajające i niekiedy powodowało zaniechanie zamierzonego działania.

Od tego czasu upłynęło przeszło 40 lat, w ciągu których burzliwe dzieje historii sprawiły, że Kijów został zniszczony w wysokim stopniu, zwłaszcza jego centralna część – Kreszczatik i przylegające do niego ulice poprzeczne. Po zakończeniu wojny, zawdzięczając sprężystej organizacji sił technicznych i administracyjnych oraz patriotycznemu wysiłkowi narodu, Kijów szybko podźwignął się z ruin i został odbudowany, zyskując szatę piękniejszą niż miał dawniej. Lewa strona Kreszczatika ma zabudowę luźną: pomiędzy punktowcami u podnóża skarpy pieczerskiej jest wolna przestrzeń ładnie zadrzewiona i upiękuszona klombami – stanowi ona miejsce dla spacerów i wypoczynku przechodniów. Architektura domów – nowoczesna, przejrzysta w swej

prostocie. Wzdłuż skarpy nad Dniepram – wspaniały park i kilkukilometrowa promenada pięknie zadrzewiona – od Kupieckiego Ogrodu do Askoldowej Mogiły.

Do osobliwości Kijowa należy zaliczyć urządzoną przed czterema laty wystawę przemysłowo-rolniczą na skraju miasta poza Parkiem Gołosiejowskim. Szereg pawilonów o pięknej architekturze ma tę wspólną cechę, że każdy z nich w samym środku posiada salę odczytową, wyposażoną w plastyczną mapę Ukrainy, na której każdy rodzaj przemysłu oznaczony jest siecią punktów świetlnych, włączanych na tablicy rozdzielczej.

Wycieczki grupowe, zwiedzające wystawę, po wysłuchaniu wyjaśnień i obejrzeniu aktualnego filmu, z większym zainteresowaniem i świadomością rzeczy oglądają eksponaty rozmieszczone na licznych stanowiskach.

W pawilonie budownictwa specjalne zainteresowanie wzbudza oryginalny projekt zaopatrzenia Kijowa w wodę pitną. Należy zaznaczyć, że woda dniewowska nie nadaje się do picia ze względu na swój skład chemiczny. Znajduje to swój wyraz w kolorze wody: jeśli się wjeżdża do Dniepru parostatkiem z ujścia Desny, położonego o 5 km wyżej Kijowa, to z górnego pokładu statku wyraźnie widać, jak jasno szary kolor wody w Deśnie raptem zmienia się w jasno bursztynowy przy połączeniu się z wodą Dniepru.

Obecne zaopatrzenie Kijowa w wodę pitną bazuje na kilku studniach artezyjskich wierconych na kilkaset metrów poniżej poziomu wody w Dnieprze. Jest to sposób zaopatrzenia dość kosztowny i zależny od wydajności warstw wodonośnych. Dlatego wspomniany projekt przewiduje doprowadzenie do Kijowa wody z ujścia Desny i w tym celu przewiduje się wybudowanie syfonu w tunelu pod korytem Dniepru.

Obecnie, przy odwiedzaniu Kijowa nasuwają się wzruszające wspomnienia z czasu zamieszkiwania w nim przed półwiekiem, a serdeczny stosunek dzisiejszego ciała profesorskiego Politechniki Kijowskiej do byłych jej wychowanków i życie kulturalne stolicy Ukrainy sprawiają, że w tym miłym mieście chciałoby się znowu mieszkać.

Warszawa, luty 1962 r.

Zachowano pisownię oryginału

BYŁEM STUDENTEM POLITECHNIKI KIJOWSKIEJ

Trzeci rok studiów 1953–1954

Oto dalszy ciąg wspomnień Józefa Olszewskiego ze studiów w Politechnice Kijowskiej, pochodzący z broszury Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej wydanej w 2003 r.

Janusz FUKSA

Pociąg, zmierzając do stacji *Kijew Pasażyrskij*, zatacza łuk, zbliżając się bezpośrednio do gmachów Politechniki. To moja *Alma Mater*, tutaj słucham wykładów i zdaję egzaminy. Co też nowego przyniesie mi ten kolejny, trzeci już rok akademicki?

W tym roku będę mieszkał w tym samym domu studenckim, co w roku ubiegłym, tylko w innym pokoju i z innymi współlokatorami. A chciałbym mieszkać z tymi samymi kolegami, co poprzednio, lecz czemuś to nie można było tego załatwić. Jakieś niezrozumiałe dla mnie kryteria są stosowane przy rozmieszczaniu studentów w pokojach. A zresztą, pal go sześć, poznam bliżej nową piątkę współlokatorów. Może to będzie nawet ciekawsze, bo każdy człowiek ma przecież inną osobowość.

Znów, jak na pierwszym roku, mieszkać będę na parterze, tym razem okno wychodzi na ulicę, będzie więc można obserwować przechodniów. Na pewno czasami będą także przechodziły ładne dziewczyny.

Już wiem, że trzeba pójść do łaźni i przynieść kwitek, że poddałem się rytualnym ablucjom. Nawet mi się to podoba. Po przejściu parówki czuję się zwykle taki odnowiony i z przyjemnością wypijam duży kubek piwa. Starożytni Rzymianie też przecież rozkoszowali się pławieniem w swoich termach.

W Rosji łaźnie zawsze były popularne. Nawet w moim rodzinnym miasteczku Szczuczynie, gdzie za cara Mikołaja II stał pułk Dońskich Kozaków, zbudowano łaźnię. Do dziś mieszkańcy z niej korzystają.

Rankiem 1 września zakładałam kupiony kilka dni temu w Warszawie nowy garnitur, granatowy w niebieskie podłużne prążki i idę na inaugurację nowego roku akademickiego 1953/54. Idę sobie krokiem pewnym, z godnością, jak przystało na studenta trzeciego

roku. Po drodze zbaczam, żeby zobaczyć na ile w czasie wakacji urósł nowo budowany dom studencki. Mają tam być większe pokoje i inne udogodnienia dla życia w dużym gronie ludzi. Oby tylko dotrzymano terminu przekazania go do użytku, żeby w roku przyszłym już tam zamieszkać. Bo też ta obecna ciasnota w pokojach jest uciążliwa i krępująca.

Przed wejściem do Instytutu spojrzałem na zegarek, który akurat wczoraj kupiłem. Poprzedni zostawiłem w kraju, bo taka właśnie zaszła potrzeba w ostatnim dniu przed wyjazdem. Nowy jest znacznie ładniejszy.

Do godziny 8-mej było jeszcze sporo czasu, siadam więc na ławce i z lubością przyglądam się frontonowi mojej *Alma Mater*. Przypominam sobie przeczytane w przewodniku informacje o tym budynku.

Jak większość budynków publicznych, zbudowanych w Kijowie w wieku XIX, fasada ma bogatą ornamentykę. W przewodniku podano, że w eklektyzmie tej budowli można dopatrzeć się elementów stylu romańskiego, które jakoby są dominujące. Budynek zbudowany został według konkursowego projektu, wykonanego przez petersburskiego profesora I.S. Kitnera; nadzorował budowę A.W. Kobilew. W tym to właśnie budynku, pod kierownictwem wybitnych profesorów, w ciągu pięciu lat nastąpi moje przeistoczenie z kusego, małomiasteczkowego chłopca z Mazowsza w nasyczonego solidną wiedzą inżyniera.

Siedząc na ławce obserwuję, jak od przystanku tramwajowego i autobusowego (metra jeszcze wtedy nie było) idą alejkami parku studenci. Wielu z nich ma w rękach małe walizeczki. Chociaż nie były one gustowne, to z powodzeniem spełniały rolę teczek, nawet były praktyczniejsze, bo chroniły dokumenty przed deformacją.

Idą także *prepodawатели* i profesorowie. Niektórzy, szczególnie starsi wiekiem, mają na sobie białe lniane

garnitury. Taka naonczas panowała moda w tych sferach. Za kilka tygodni, kiedy zrobi się chłodniej, przywdzieją jasne płaszczki gabardynowe. Te starannie uszyte kupione zostały w komisach, gdzie trafiły po przywiezieniu z zagranicy, często z Polski.

Właśnie nadszedł mieszkający w Kijowie Jura Sz., mój dobry znajomy z naszej grupy specjalizacyjnej EM8. Witamy się serdecznie, po przyjacielsku i razem wchodzimy w otwarte podwoje, nad którymi widnieje transparent z napisem: „Добро пожаловать!”

Na korytarzu rozgwar, znajomi pozdrawiają się krótkim: „*нпривет!*”, to jakby nasze „cześć”, które też się tu przyjęło. Idziemy lewym korytarzem gmachu aż do samego końca, gdzie na niskim parterze ma swoje pomieszczenia i laboratoria nasza katedra maszyn elektrycznych.

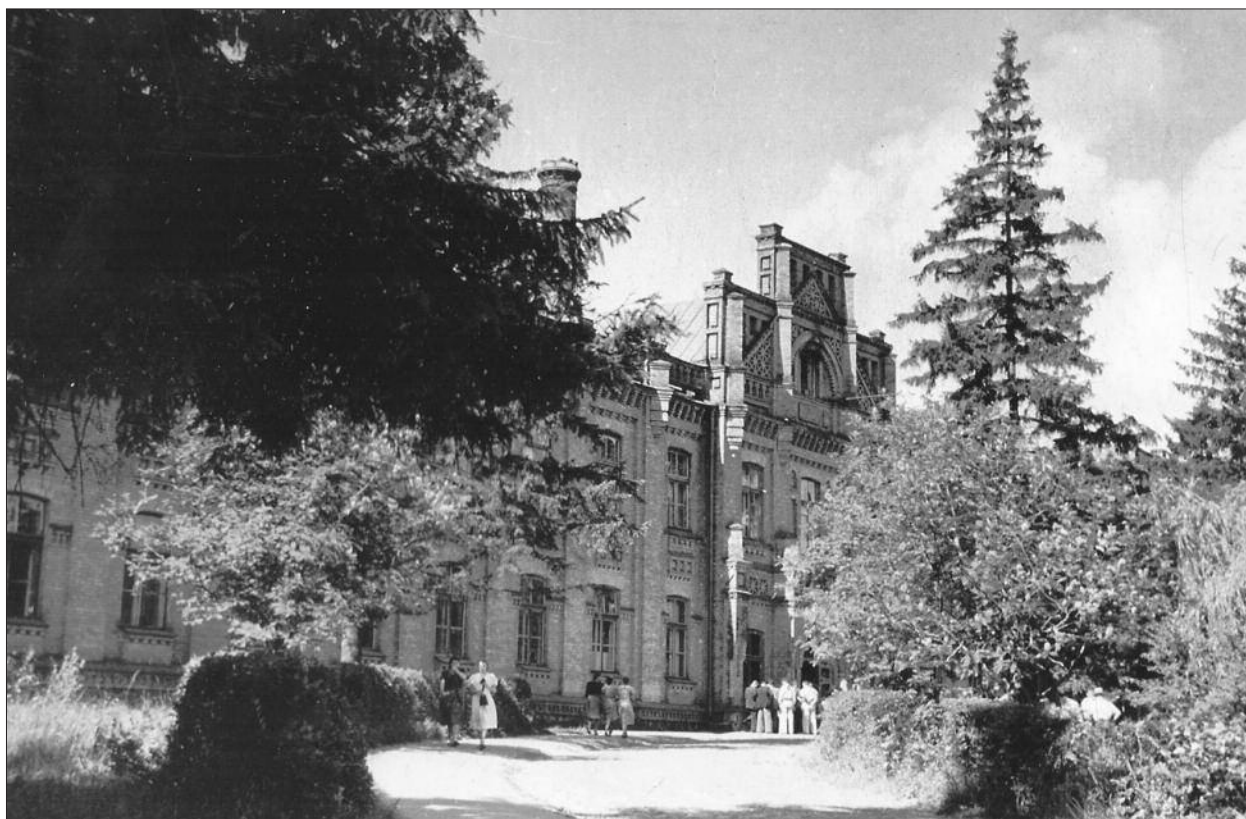
Przyjemnie jest spotkać po wakacjach życzliwych i przyjaznych znajomych. Koleżanki jakby wypiękniały i odmłodziły po wakacyjnych wywczasach. Ciemnowłosa Irina i blondyneczka Łarysa rozgadały się bez opamiętania. Widać, że czują się dobrze w tym gronie, gdzie jest tylu wartościowych mężczyzn.

Dzisiaj wszyscy są uśmiechnięci, w dobrych nastrojach i skorzy do żartów. Aż wierzyć się nie chce, że za kilka tygodni ten beztroski nastrój ulotni się pod

ciężarem narastających studenckich obowiązków, a często i kłopotów finansowych. Spoważnieje wtedy i utraci znaczną część swego rezonu ta tak wesoła dzisiaj studencka brać. Tylko Irina i Łarysa będą ożywiały grupę swym perlistym śmiechem i ciągłym gadulstwem.

Nie straci także równowagi ducha Kola N. Jego poważny wyraz twarzy, zaprawiony tajemniczym grymasem nigdy nie pozwala zorientować się, kiedy mówi serio, a kiedy drwi sobie z czegoś. Tylko po śmiejących się oczach można odgadnąć, jak Kola ocenia daną sprawę. Kola był każdemu życzliwy i oddany. Przyjacielowi niczego nie potrafiłby odmówić. Bardzo mi odpowiadał charakter Koli, świadczący o jego szerokim zakresie tolerancji, jak bezkres rosyjskich przestrzeni.

Przy odpisywaniu rozkładu zajęć na nowy piąty już semestr widzę, że wchodzi całkowicie nowe przedmioty specjalistyczne. Główne to wykłady, ćwiczenia i zajęcia laboratoryjne z maszyn elektrycznych. Obok tego ważne są też takie przedmioty, jak napęd elektryczny, jak również sieci elektryczne i elektrownie. Jest też szereg przedmiotów pokrewnych, niejako uzupełniających. Dużo tego. Ale jeśli zachciało mi się zostać inżynierem elektrykiem, to teraz przyjdzie solidnie popracować nad przygotowaniem się do zawodu. Wszak



Politechnika Kijowska. Gmach główny. Fot. z 1959 r. Autor nieznanym

nie święci garnki lepią. Przeszli przez ten magiel inni, to i ja powinienem dać sobie radę. Czas, praca i chęć szczerza na pewno zrobią ze mnie inżyniera. Dzięki swojej dewizie: „chcieć to móc” na pewno podołam nowym zadaniom.

Właśnie dzisiaj ma być pierwszy wykład z maszyn elektrycznych. Jestem niezmiernie ciekawy początków nauki wybranego docelowo zawodu.

Od początku trzeciego roku studiów prowadzone są wykłady z teorii maszyn elektrycznych. Program tych wykładów jest bardzo obszerny, przystosowany dla studentów specjalizujących się w tej dziedzinie techniki. A studentów takich jest po dwie grupy na każdym roku, a w każdej grupie po kilkunastu. Na moim roku z Polaków specjalizuję się w tej dziedzinie tylko ja. Ale na czwartym roku jest trzech Polaków. Wykłady prowadzone są dla obu grup, w niewielkiej salce. Dzięki temu jest bezpośredni kontakt z wykładowcą.

Ogólną teorię maszyn elektrycznych wykladał Bławdziewicz. Mówiono, że jest on polskiego pochodzenia. Nabrałem takiego przekonania, gdy wszczął ze mną rozmowę na temat czasopism technicznych wydawanych w Polsce. Z rozmowy wynikało, że czasopisma te czytał. Niestety, nie mogłem podjąć dyskusji, ja jeszcze wtedy czasopism tych nie czytałem, gdyż dopiero zacząłem wgryzać się w początkowe arkana techniki. I właśnie dla solidniejszego ugruntowania podstaw teoretycznych po wykładach studiowałem odpowiednie rozdziały w podręczniku.

Zalecany był podręcznik napisany przez L.M. Piotrowskiego. Była to duża i ciężka, a przez to i nieporęczna księga. Z podobnego formatu książ uczyłem się już chemii i teoretycznych podstaw elektrotechniki. Widocznie w owych czasach panowała w wydawnictwach technicznych moda na wydawanie podręczników w formie książ dużego formatu, o wysokości 26 cm i szerokości 21 cm, w twardej oprawie. Dużo wiedzy naukowej zawiera taki podręcznik i to trudnej do opanowania na początku. Na szczęście wiedza ta podawana była w sposób przystępny.

Już od pierwszych wykładów z maszyn elektrycznych zdawałem sobie sprawę, iż z wiedzą tą będę związany przez całe życie i postanowiłem solidnie przyłożyć się do jej poznania.

Zasady działania maszyn elektrycznych opierają się na zjawisku indukcji, które odkrył Faraday. Nazwisko to jest wymienione w podręczniku już na samym po-

czątku. Podaje je także wykładowca, już bez wyszukiwania rosyjskiego dublera, jak to miało miejsce na wykładach z fizyki dwa lata temu.

Prowadzone są także wykłady z projektowania maszyn elektrycznych. Już po kilku wykładach otrzymujemy zadanie semestralne: zaprojektowanie transformatora dużej mocy. Tak więc zaczęło się na dobre. Odtąd w miarę upływu czasu, z tygodnia na tydzień, stawać się już będę inżynierem. Te projekty semestralne to jest przedsmak tego, co będę robił w przyszłości, w pracy zawodowej. Każdy student otrzymał swoje indywidualne zadanie projektowe i swojego konsultanta – pracownika katedry.

Należy wykonać obliczenia elektromagnetyczne oraz opracować rysunek zestawieniowy, obrazujący główne zespoły. Przystępuję do zadania nieomal z namaszczeniem. Będzie to przecież mój pierwszy w życiu projekt nie wirującej maszyny elektrycznej. Zalecono stosować metodykę projektowania podaną w podręczniku opracowanym przez kierownika naszej katedry prof. Iwana Matwiejewicza Postnikowa. Odtąd aż do końca mojej pracy zawodowej korzystałem z wiedzy zawartej w tym podręczniku.

W owych latach, gdy nie było jeszcze komputerów ani nawet kalkulatorów, obliczenia do projektów technicznych wykonywano na suwaku logarytmicznym. Był to znamieny atrybut studenta, a także inżyniera projektanta. Na suwaku tym wykonywano takie działania matematyczne jak: mnożenie, dzielenie, pierwiastkowanie, potęgowanie i logarytmowanie liczb. Odczytywano także wartości funkcji trygonometrycznych. Wyniki działania odczytywano z dokładnością do dwóch miejsc po przecinku, a w niektórych przypadkach skali nawet do trzeciego miejsca po przecinku. To w praktyce inżynierskiej na ogół wystarczało. Natomiast operacje sumowania i odejmowania przeprowadzano na podręcznych kartkach papieru i trzeba było usilnie śledzić, żeby się nie pomylić. Doświadczony projektant na ogół wiedział, jaki rząd wielkości powinien otrzymać z przeprowadzanych operacji. Ale student musiał ślęczeć i wielokrotnie sprawdzać wykonywane działania. Była to naprawdę praca żmudna i uciążliwa.

Dla studenta to „ręczne” obliczanie maszyny miało však tę pozytywną stronę, że postępując stopień po stopniu, wzór po wzorze, poznawał on maszynę w każdym jej milimetrze i tym samym niejako automatycznie wgryzał się w arkana jej projektowania. Gorzej

było, gdy maszyna nie „wyszła” po pierwszym przeliczeniu i trzeba było obliczać kolejne jej warianty.

Zwyczajny popularny suwak logarytmiczny miał 28 cm długości, w tym na 25 cm znajdowały się skale, i 3,8 cm szerokości. Na odwrocie znajdowały się potrzebne najczęściej w praktyce dane techniczne, podawane zazwyczaj w poradnikach. Przy pomocy takich to prostych „urządzeń” do liczenia wykonywano w owym czasie projekty skomplikowanych maszyn, mostów i innych ważnych obiektów.

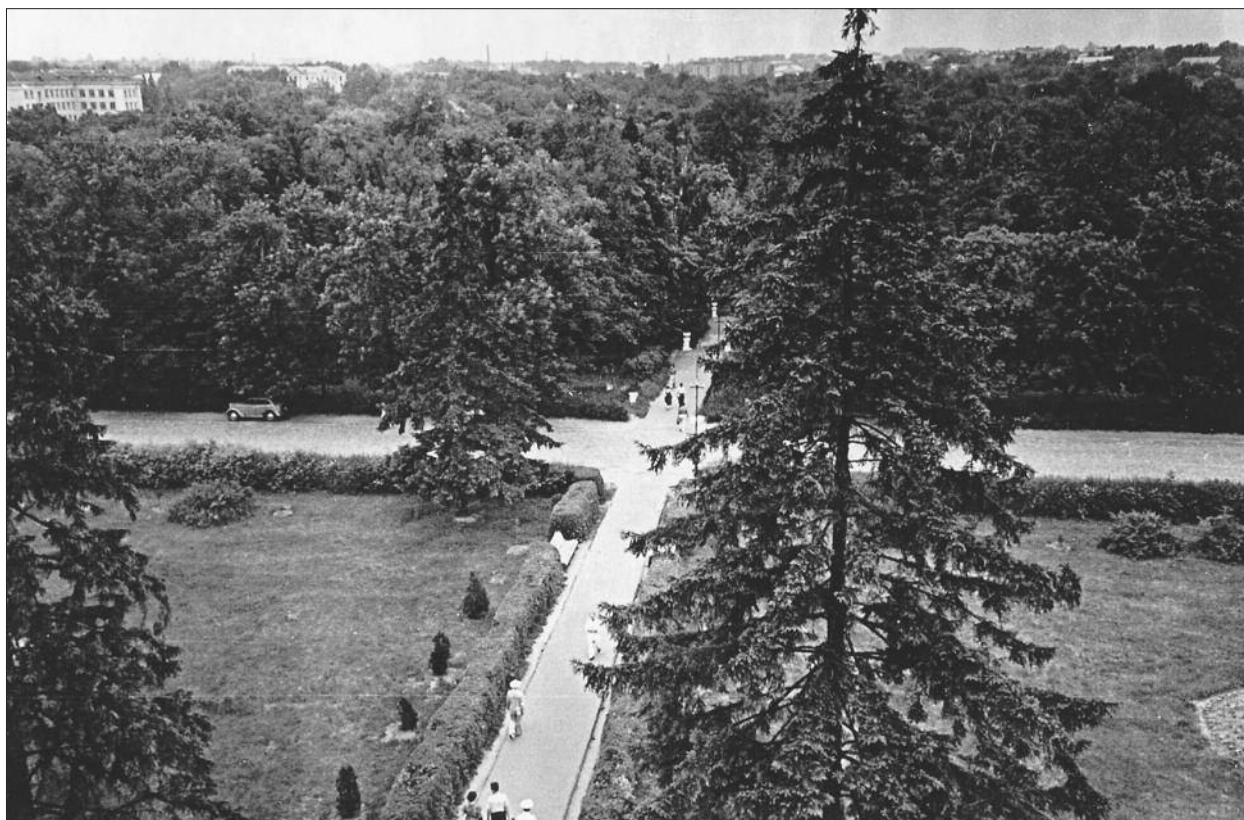
Zajęcia laboratoryjne odbywały się w długim, lecz stosunkowo niskim pomieszczeniu. Były tam prawdziwe maszyny elektryczne, wykonane w fabrykach. W laboratorium panowała niepodzielnie Anna Wasiliewna, niemłoda już, lecz pełna werwy kobieta. Bywało, iż pokrzykiwała na studentów, traktując ich prawie jak swoją rozbrykaną dziatwę. Ale studenci wiedzieli, że ona ich lubi i zawsze całym sercem pomoże w potrzebie. A doprawdy warto było żyć w zgodzie z Anną Wasiliewną. Można było np. w drodze wyjątku wypożyczyć trzymany w podręcznej szafce dokładniejszy przyrząd pomiarowy, czy też, gdy przycisnie taka

potrzeba, otrzymać w tajemnicy wzorec opracowania wyników ćwiczenia laboratoryjnego. [...]

Zajęcia laboratoryjne prowadzone były w kilkuosobowych grupach. Miało to i tę dobrą stronę, iż przy wspólnej pracy w mniejszym gronie można było lepiej się poznać. Po pewnym czasie zawiązały się nawet trwałe przyjaźnie.

Właśnie po przyjacielsku mieszkający w mieście koledzy ostrzegli mnie, bym miał się na baczności, gdyż w Kijowie od pewnego czasu zrobiło się niebezpiecznie. Otóż w ramach amnestii wypuszczono z łagrów także kryminalistów i ci z miejsca przystąpili do uprawiania swego procederu. Napadali na samotnych ludzi, zabierali cenne rzeczy, a nawet kazali zdejmować odzież. Takie przypadki zdarzały się ponoć nawet w środkach komunikacji miejskiej. Bandyci straszili ostrymi narzędziami i terroryzowali otoczenie. Mówiono także, że żyletkami tną twarze opornych kobiet. A przed amnestią było tak spokojnie, wszędzie panował ład i porządek. Trudno było nawet uwierzyć, że tak raptownie zmieniło się na gorsze.

Niepomny przestrogom wybrałem się ze znajomą na spacer do parków nad Dnieprem. Spacerowaliśmy do późna, aż zostaliśmy po zachodzie słońca tylko we dwoje. Lubilem w porze wczesnego zmierzchu oglądać



Politechnika Kijowska. Park z okna gmachu głównego. Fot. z 1959 r. Autor nieznanym

prześliczną panoramę zakoli rzeki i ciągnącą się aż hen, po horyzont równinę. Taki widok budzi w człowieku jakąś tęsknotę za niezmierną siłą, budzi przyjazne uczucia do wszystkich i do wszystkich.

Usiedliśmy na ławce w zacisznej, odludnej alejce i było nam ze sobą po prostu dobrze. Moja znajoma także lubiła nastrojowe chwile, ale okazała się bardziej przezorna ode mnie i poradziła schować zegarek. Niby bagatelizując sprawę poszedłem wszakże za jej radą. I dobrze, że jej posłuchałem, bo oto staję przed nami dwóch młodzieńców z otwartymi szczyrykami i ostrym, zachrypłym głosem nakazują:

– *Давай часы!*

– *Nie mam czasów* – mówię, specjalnie przekręcając rosyjskie słowa, żeby wiedzieli, że jestem *inostraniec*, bo za takiego wyżej karzą.

– *Я вас знаю* – mówi rezolutna, odważna dziewczyna.

Poszeptali coś pomiędzy sobą i dali dyla w najbliższe krzewy.

W taki to sposób prysła, na pewien czas, romantyka wieczornych spacerów w parkach nad Dnieprem. Pozostały spacerować tłumy na Kreszczatiku i kino. Niektóre dziewczyny nawet to wołały, chciały się bowiem pokazać znajomym, a swoje czułości okazywały przy pożegnaniach przed swoim domem.

Po jakimś czasie groźną sytuację opanowano i niegodnych przebywania na wolności osadzono w odpowiednich dla nich pomieszczeniach.

Zbliżała się kolejna rocznica Rewolucji Październikowej, która według nowego kalendarza była obchodzona 7 i 8 listopada. Już od połowy października tworzyły się wśród młodzieży, a także i ludzi starszych, tak zwane *kompanie* w celu zorganizowania prywatek w wolne dni.

Było oczywiste, że głównymi organizatorami będą koledzy mieszkający z rodzicami w Kijowie. Najbardziej prestiżowe były prywatki w mieszkaniach znajomych w dzielnicy Pieczersk, położonej na najwyższym w mieście wzgórzu, uznawanej za najbardziej ekskluzywną i niejako prominencką dzielnicę miasta.

Tego roku ja także piłem dobre wino i tańczyłem z wystrojonymi *baryszniami* w dużym, wyposażonym w głębokie fotele, gościnnym pokoju mieszkania Ludmiły na Pieczersku. Poczytywałem sobie to za awans towarzyski. Byli tam przystojni Rumuni i Węgrzy, były oczywiście dobrane, dorodne koleżanki Ludmiły i

jeden Polak, czyli ja. Zaprosił mnie kolega Rumun, a dziewczęta na wstępnym spotkaniu zaakceptowały.

W kilka dni później z okazji rocznicy rewolucji odbyło się uroczyste spotkanie w naszym Konsulacie, który w owym czasie miał swoją siedzibę także na Pieczersku. Widoczne było, że niektórzy koledzy dobrze się już zaadaptowali w kijowskim środowisku. Przyszli na spotkanie z pysznymi ukraińskimi dziewczynami, ubranymi w bogate kreacje. I tak to rozkwitała polsko-ukraińska przyjaźń. Lubiałem takie nieformalne spotkania w Konsulacie. Przyjemna była wówczas atmosfera. Pseudoaktywiści nie roztrząsali niczyich życiorysów i nie mogli wyżywać się w swojej nienawiści do ludzkich spraw.

Zaraz po uroczystościach solidnie zabrałem się do projektu transformatora. Konsultant polecił mi zrobić kilka wariantów obliczeń dla różnych obciążeń indukcyjnych i prądowych obwodu magnetycznego i prądowego. Zrobił to celowo, żebym głębiej wczuł się w istotę obliczeń. Siedziałem całymi godzinami z suwakiem w rękę i wtedy to właśnie wyrobiłem sobie sposób podejścia do przeprowadzania obliczeń oraz nabyłem wprawę w posługiwaniu się suwakiem logarytmicznym.

Konsultant wbijał mi cały czas do głowy, iż po to, by uzyskiwać projekty maszyn o dobrych parametrach technicznych, należy obliczać wiele wariantów, słowem liczyć, obliczać i wciąż przeliczać. W późniejszych latach, kiedy to w pracy zawodowej zajmowałem się głównie obliczaniem maszyn, często w duchu wspominałem wymagającego konsultanta mojego pierwszego studenckiego projektu transformatora, który nauczył mnie właściwego podejścia do projektowania.

Zainteresowały mnie także bardzo wykłady z wytrzymałości materiałów. Po pewnym czasie, dzięki wiedzy uzyskanej na tych wykładach, całkiem inaczej zacząłem patrzeć na wszelkiego rodzaju konstrukcje stalowe, szczególnie zaś na konstrukcje mostów i wiaduktów. Zacząłem przyglądać się z uwagą rozmieszczeniu żeber, kratownic i podpór oraz analizowałem celowość ich zastosowania. Dawna czarna magia stała się zrozumiała i frapująca.

Wiedziałem już, iż wiedza o wytrzymałości materiałów będzie bardzo przydatna w moim zawodzie, bo tak naprawdę maszyna elektryczna poza częścią czynną, jak uzwojenia i rdzenie magnetyczne, jest konstrukcją mechaniczną. Postanowiłem zatem przyłożyć się także

i do tego przedmiotu. Wypożyczyłem z biblioteki uczelnianej podręcznik, który miał mniejszy format niż inne, ale za to był niezwykle gruby. Zastanawia mnie fakt, że te duże i grube podręczniki, które latami przechodziły przez tak wiele rąk, nie rozsypywały się, jak to miało miejsce z książkami wydanymi po unowocześnieniu techniki wydawniczej.

Ćwiczenia z wytrzymałości materiałów prowadził wykładowca okazujący wyjątkowy szacunek dla godności osobistej studenta. O ile zdarzało się, że prowadzący ćwiczenia z innych przedmiotów wykładowcy stosowali wcale nie akademickie metody, to na ćwiczeniach z wytrzymałości materiałów panował luz i swoboda.

Wykładowca zwykle prosił, a rzecz można nawet upraszać, żeby znalazł się ochotnik i zechciał podejść do tablicy i przeprowadzić rozwiązanie zadania. Chętni oczywiście się znajdowali, a niektórzy lubili nawet popisywać się swoją wiedzą przed koleżankami i kolegami. W tej atmosferze nawet słabsi studenci chcieli pokazać na co ich stać i zapowiadali swoje przygotowanie do wystąpienia na kolejnych zajęciach. [...]

Wykładowca prowadzący ćwiczenia z wytrzymałości materiałów w przypiływie dobrego nastroju opowiadał ciekawe historyjki z życia uczelni. Ot chociażby i taką, jak to jeszcze zaledwie przed kilku laty jeden z profesorów tej właśnie katedry przyjeżdżał jesienią i wiosną na uczelnię na koniu. Taką miał kozacką fantazję. Konika pętał i puszczał w parku, ażeby się pasł. Wciąż się jednak o niego martwił. Bywało, że podczas wykładów robił przerwy, prosząc kogoś ze studentów o sprawdzenie, czy z koniem jest wszystko w porządku i aż do powrotu studenta nie prowadził wykładu.

Wykłady, a nawet ćwiczenia z niektórych przedmiotów, prowadzone były wspólnie dla kilku grup o różnych specjalnościach i tak np. nasze dwie grupy *elektromaszynowców* miały wspólne wykłady z grupami o specjalizacji elektryczne sieci i systemy. W jednej z tych grup byli dwaj Polacy Janusz W. i Ludwik B., miałem więc okazję porozmawiać sobie z nimi po polsku w czasie przerw. [...]

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. W Związku Radzieckim były to w owym czasie normalne dni robocze. Niemniej w Wieczór Wigilijny byłem myślami przy swoich bliskich. Oni tam też na pewno myśleli o mnie, dobrze mi życząc i modląc się za mnie. Musiała to być skuteczna modlitwa, bo wiodło mi się całkiem dobrze. Wspominałem dawne wigilie z lat, gdy żyła jeszcze mama. Ileż to wtedy było radości w gronie ro-



Kijów. Choinka na Kreszczatiku. Fot. z 1959 r. Autor Janusz Fuksa

dzinnym? Ostatnią wspólną Wigilię mieliśmy w 1939 roku, a więc już w czasie wojny. [...]

Egzaminy zdaje się u konkretnych ludzi, którzy, zdobywając się nawet na największy obiektywizm, nie są w stanie ustrzec się swoich wrodzonych czy nabytych słabostek, dziwactw, a nawet kaprysów. Studenci, wiedząc o tym, dokładają wszelkich starań, aby możliwie jak najwięcej dowiedzieć się o charakterach i zwyczajach profesorów, u których przyjdzie im zdawać egzamin. [...]

Tak po prawdzie, to średnia moich ocen z tej sesji nie była imponująca, lecz przecież wystarczała, by mieć spokojną głowę o to, iż mogę być obiektem niepochlebnych zdań szerszego kolektywu. Nie będę więc musiał nic ponownie zdawać i mogę sobie pohulać do woli podczas przerwy semestralnej. Dobra nasza!

Już nazajutrz po ostatnim egzaminie wybrałem się do łaźni. Trzeba po pierwsze zmyć poty egzaminacyjne, a także zażyć frajdy poleżenia na najwyższej półce, w

najgorętszej parze. Po takim prażeniu się i płukaniu człowiek czuje się jakby odnowiony i młodszy. Nawet skóra na twarzy robi się delikatniejsza.

Trzeba wszakże mieć się na baczności, żeby po takim rozparzeniu całego organizmu nie przeziębic się. Dlatego też dobrze jest, starym ruskim obyczajem, strzelić sobie „po bani” setkę mocnej gorzałki. Ja, co prawda, stroniłem jeszcze w tym czasie od *czyściochy*, lecz krzywiąc się wypilem *pięćdziesiątkę*, ażeby wszystko było zgodne z przyjętym tutaj obyczajem. Inaczej musiałbym kłamliwie odpowiadać na pytania kolegów z pokoju.

Gdzieś tak w trzecim dniu ferii, gdy przyrządzałem sobie spóźnione śniadanie, wezwano mnie na portiernię, do telefonu. Mieszałem akurat cukier w herbacie ołówkiem *kobinor* czeskiej produkcji, z grafitem o twardości H5. Taki to był w naszym pokoju szpan, zresztą nie tylko w naszym pokoju. Ołówki tej marki były bardzo dobrej jakości i chętnie były używane do wykonywania rysunków. Dobre były także ołówki konstruktorskie T radzieckiej produkcji.

Wzywanie do telefonu na portiernię nie było już w tym czasie dla mnie żadną dziwotą. Dzwoniły znajome, chcąc umówić się ze mną na spotkania, spaceru i na pójście do kina – tak modną wtedy rozrywkę. Dzwonili też znajomi koledzy, żeby poinformować, gdzie będzie najbliższa potańcówka studencka.

Tym razem było zupełnie coś innego. Dzwoniła Ola, niedawno poznana studentka z Instytutu Medycznego. Zaproponowała mi wspólne pójście na *katok* na stadionie *Dynamo*. Słyszając taką propozycję, z początku próbuję się wymigiwać, że ja przecież nie mam łyżew itp. Ola wszakże jest stanowcza i jak sobie postanowiła, to tak ma być. Twierdzi więc, że łyżwy można sobie wypożyczyć na miejscu, na stadionie i to razem z butami dowolnych rozmiarów, na pewno znajdą się i dla mnie buty rozmiaru 29. Tylko dobrze jest wziąć kilka par skarpet. W takiej podbramkowej sytuacji pomyślałem, że jeśli dalej będę naciągał strunę, to Ola może mnie uznać za ostatnią ofertę, więc z udawanym entuzjazmem przystałem na propozycję.

Jeśli już się umówię, to dotrzymuję słowa, no i nie chciałbym utracić względów sympatycznej Oli. Przybywam więc punktualnie na umówione miejsce przed stadionem.

Taka ślizgawka to naprawdę bardzo dobra rzecz dla zdrowia. Nie jestem jednak pewny swoich umiejętności jazdy na łyżwach. Spróbować wszakże nie zaszkodzi. Pamiętam, przed wojną ślizgałem się na jednej

łyżwie „samodziałowej”, wystruganej z drewna i podkutej stalowym drutem. W owym czasie tylko nieliczne dzieci w miasteczku miały prawdziwe, połyskujące niklem łyżwy. W czasie pobytu na naszych terenach Armii Czerwonej, w okresie październik 1939 – czerwiec 1941 roku, zapewne dla pokazania, jaki to w Związku Radzieckim jest dobrobyt, przywożono do naszej kooperatywy duże ilości łyżew. Były one tanie i wobec tego praktycznie dostępne dla każdego. Przykręcało się je do butów zgrabnym kluczykiem. Cały szkopuł był w tym, że podeszwy paskudnie się przy tym deformowały i buty szybko niszczały. Ojciec, dbały o to, by jego dzieci miały buty na zimę, krzywym okiem patrzył na praktyki z łyżwami. Trzeba nadmienić, że o buty było wówczas niezwykle trudno. Na dobrą sprawę można było liczyć głównie na zapasy sprzed wojny, na naprawę lub na przywożone do kooperatywy *walonki*, do których, niestety, nie sposób było przykręcić łyżew.

Ale na łyżwach to ja się wtedy jeździć nauczyłem. Jakże to jednak już odległe czasy! I tak teraz przed Olą będę musiał zdać egzamin ze swojej sprawności w łyżwiarstwie. Człowiek młody i chętny wiele może dokonać dla przypodobania się swojej wybrance.

Stadion *Dynamo* położony jest w centralnej części miasta, niedaleko od początku ulicy Kreszczatik. Już z oddali wyczuwało się nastrój jakoby jakiegoś festynu – rześiste oświetlenie, głośna, wpadająca w ucho muzyka i spory tłum ludzi ślizgających się na tafli lodowej. Są tam przeważnie dzieci i młodzież, ale są też i ludzie starsi wiekiem. Dla utworzenia ślizgawki zalane zostało całe boisko piłkarskie.

Ola przyniosła swoje własne łyżwy na stałe przymocowane do białych butów i już po chwili śmignęła w tłum krążący dokoła tafli lodowej. Ja zaś po dłuższym przymierzaniu dobrałem sobie odpowiednie buty z łyżwami i, o dziwo, po wyjściu na lód wcale się nie przewracałem. Tak po prawdzie to ja i poprzedniej zimy tutaj bywałem, lecz zazwyczaj krótko i po kilku wywrotkach szybko rezygnowałem.

Teraz czemuś to szło mi lepiej. Może buty lepiej dobrałem, a może świadomość, że w pobliżu jest Ola, powodowała, iż wychodziło mi to ślizganie jakoś sprawniej. Olę odnalazłem w tłumie po kilku okrążeniach, ale gdzie mi do niej. Ona śmiga jak ptak, a ja piłuję na tępych łyżwach.

Wracaliśmy upojeni ruchem na świeżym powietrzu, bliźsi sobie i szczęśliwi.

Tak mi się spodobało to ślizganie się na lodowisku, że w czasie ferii chodziłem tam prawie codziennie,

nawet sam. A i później, gdy już trwały zajęcia w Instytucie, prawie w każdą niedzielę chodziłem na *katok*. Oczywiście, dopóki trwała zima i był mróz.

Od dłuższego już czasu nosiłem się z zamiarem pójścia na *Krytyj Rynok*, czyli bazar kołchozowy w centrum miasta, nieopodal Kreszczatika. Odkładałem to do czasu ferii, żeby móc tam pójść w środku dnia. W pierwszym rzędzie chciałem kupić sobie owoców i to takich przywożonych prosto ze wsi.

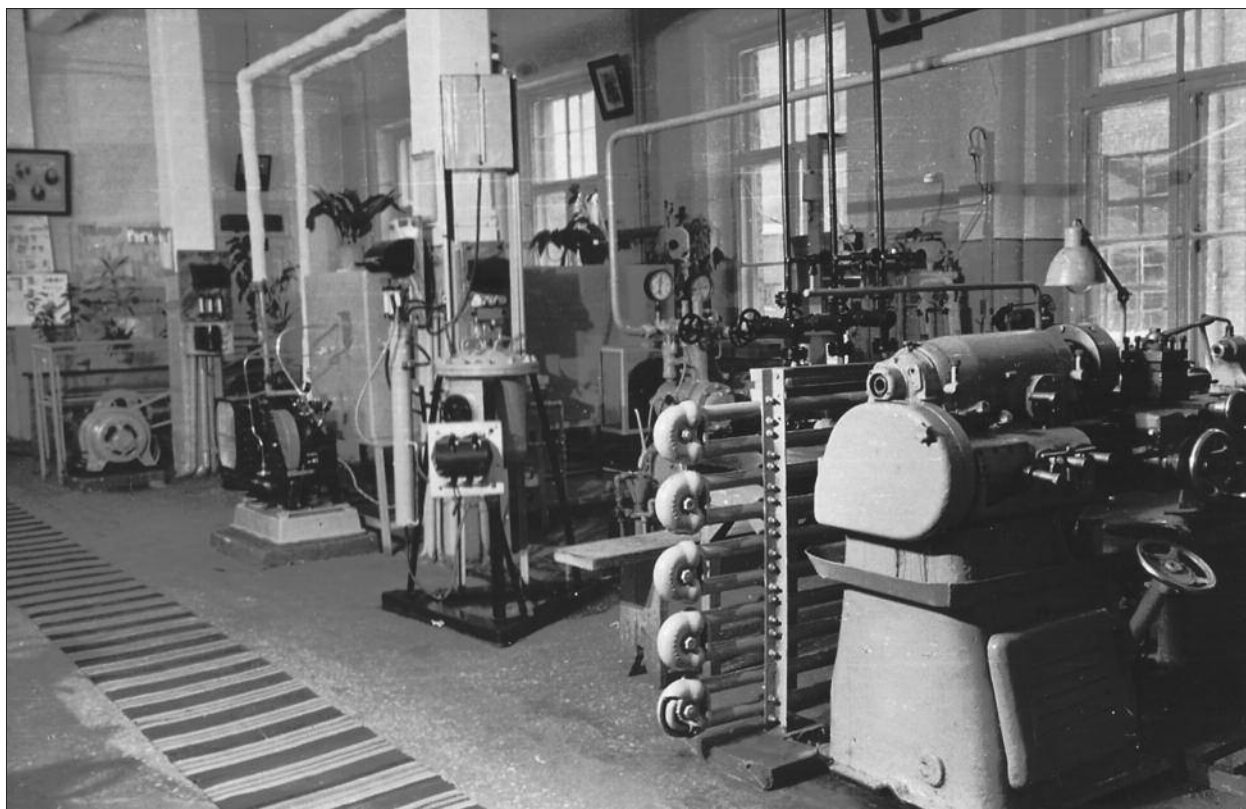
Owoców było pod dostatkiem w sklepach i to po sztywnych cenach państwowych, lecz człowieka ciągnie coś do atmosfery bazarowej, ot chociażby po to, żeby móc się trochę potargować, jako że na bazarze obowiązywały ceny umowne, taki trochę kapitalizm.

Miały tutaj swoje stałe firmowe stoiska kołchozy z okolic Kijowa. Na stoiskach sprzedawano mięso, drób, ziemniaki, warzywa i owoce. Przyjeżdżali także kołchoźnicy na własną rękę, przywożąc w tobołach produkty ze swoich działek przyzagrodowych i wystawiali je na specjalnie przygotowanych długich stołach. Po bazarze można było sobie pochodzić, pooglądać wystawione produkty i wybrać ten, który najbardziej wpadł w oko i budził zaufanie.

Kupiłem właśnie stożkową kopkę dorodnych jabłek i rozglądałem się za prażonymi pestkami słonecznikowymi. Sprzedawano te *siemieczki* na szklanki. Ostatnio sporo zjadałem tych pestek, kupiłem więc od razu kilka szklanek.

Zajadanie się prażonymi pestkami słonecznika było w owym czasie w Kijowie niezwykle popularne. Jedni jedli te pestki w przekonaniu, że przybędzie im oleum w głowie (kłania się imć Zagłoba z „Potopu”), inni znów gryźli pestki, żeby ograniczyć palenie papierosów, a jeszcze inni robili to dla zwykłego zabicia czasu i rozładowania stresów. [...]

Kijów położony jest w strefie kontynentalnej, bywają tu okresy, gdy w powietrzu jest mało wilgoci i chce się po prostu pić. I właśnie dla wygody spacerowiczów, czy też ludzi robiących sprawunki w mieście, już od wczesnej wiosny wystawiano automaty dla przyrządzenia sobie chłodnej wody gazowanej. Za zupełnie drobne monety, np. za 2 kopiejki można było ugasić pragnienie dużą szklanką chłodnej, czystej wody gazowanej, a za 5 kopiejek wodą z sokiem. I, o dziwo, automaty te przez cały sezon były sprawne. Nikt się nad nimi nie pastwił dla zaspokojenia swoich niskich in-



Politechnika Kijowska. Laboratorium elektryczne. Fot. z 1959 r. Autor nieznanym

stynktów. Nie rozbijano i nie zabierano szklanek, które bynajmniej nie były przywiązane. Szklanki te myło się przed wrzuceniem monety tryskającą pod ciśnieniem wodą. Przyjął się dobry zwyczaj, iż po wypiciu wody konsument mył po sobie szklankę zanim ją odstawił.

Zawsze też sprawne i gotowe do użytku były uliczne aparaty telefoniczne. Nikt ich nie uszkadzał, ani nie okradał. Ustawione były w przeszklonych budkach w różnych punktach miasta, czasami nawet po kilka obok siebie.

I jak na to nie patrzeć, był to niewątpliwie pewien określony poziom kultury życia codziennego mieszkańców wielkiego miasta, a także szerokich rzesz ludzi przyjezdnych. Nawykłemu do takich porządków, zwykle w pierwszym dniu po przyjeździe do Warszawy na wakacje, bardzo rzucały się w oczy walające się w centrum miasta śmieci i ogólny bałagan.

Tak zupełnie cacy to nigdzie być nie może. Wszak jakiś procent ludzi ma w sobie zakodowane skłonności do wyłamywania się z obowiązujących powszechnie reguł. Oczywiście tacy ludzie byli także i w Kijowie, ale to nie oni nadawali ton w życiu codziennym.

Na ogół twarze ludzi w Kijowie były pogodne i życzliwe. Do kłopotów z permanentnym niedoborem niektórych towarów ludzie przywykli i nie narzekali, zdając sobie widocznie sprawę z tego, że gorzej jest, gdy kogoś nie stać na kupno najbardziej potrzebnych do życia produktów, a tych na ogół nie brakowało.

Tak po prawdzie to większej gotówki nie było wtedy na co wydać. Prywatna motoryzacja zaczęła dopiero rączkować. Były już przedpłaty na samochody rodzimej produkcji. Za miastem budowano *dacze* o określonych, dopuszczalnych standardach i normatywach. Nie było to wszakże powszechne. Natomiast na wypoczynek na Krymie stać było praktycznie każdego. Sporo pieniędzy lokowano w kasach oszczędnościowych, mimo że oprocentowanie było niskie. Dla uzupełnienia należy podać, iż inflacja też była niska.

Chociaż Kijów należał do stosunkowo nielicznych miast ZSRR o najwyższym standardzie zaopatrzenia, to przecież rzadkością były w sklepach artykuły luksusowe, szczególnie zaś modne damskie ciuszki z importu. W takiej sytuacji ileż to satysfakcji dawało kijowskiej *modnicy* kupno atrakcyjnej rzeczy, po którą kilka godzin stała w kolejce. Pomimo braków ceny atrakcyjnych towarów nie były wygórowane. Jak to się później taka uszczęśliwiona *modnica* obnosiła ze swoją kobiecą próżnością, paradując w nowej modnej bluzce, czy w sweterku!

Natomiast bardzo dobre było zaopatrzenie w ciepłą, zimową odzież, szczególnie w ciepłe nakrycia głowy. Wyglądało to tak, jakby to właśnie głowy otoczono szczególną opieką. Ileż to tam było w sprzedaży wyszukanych fasonów i rodzajów futrzanych kapeluszy damskich oraz męskich czapek z nausznikami!

Futrzaną czapkę nosił w czasie chłódów prawie każdy mężczyzna i to już od młodych lat. Odnosiłem wrażenie, iż jest to niejako ubiór rytualny tutejszych mężczyzn. Dziś wydaje mi się, że zwyczaj noszenia ciepłych czapek z nausznikami przywędrował na Ukrainę z północy, z Rosji, gdzie klimat był chłodniejszy. Typowym, ukraińskim ciepłym nakryciem głowy wydaje się być barania *papacha*, taka jaką nosił narodowy poeta ukraiński Taras Szewczenko.

Futrzane czapki z nausznikami pokupowali sobie niektórzy koledzy z Polski. Kupiłem także i ja, lecz mając skłonności do przegrzewania się głowy – często miałem wilgotne czoło, co groziło poważnym przeziębieniem – zaprzestałem noszenia takiej czapki. Paradowałem w modnej w owych latach w Polsce czapce samodziiałowej z dużym denkiem, bez nauszników. [...]

A skoro już o zimie, to warto raz jeszcze wspomnieć o konsumpcji o tej porze roku lodów. Sprzedawano je nawet na ulicach z przewoźnych pojemników na kształt szafeczek. Były to stosunkowo duże porcje, owinięte folią i pęcherzykowatym papierem. Lody były chłodne, ale nie zimne i można je było zimą lizać, a nawet gryźć bez obawy o przeziębienie sobie gardła. W produkcie tym sporo było kalorii, można zatem było zaspokoić nim nawet głód. Jak wszystkie produkty żywnościowe, tak również i lody były tanie.

Ja, zdając sobie sprawę ze swoich skłonności do przeziębienia gardła, początkowo wstrzymywałem się od spożywania tego specjału w zimowym okresie. Po pewnym wszakże czasie stwierdziłem, iż po zjedzeniu jednego, a nawet dwóch lodów w sposób wolny i ostrożny z małymi przerwami, nie następowały żadne złe skutki. A trzeba przyznać, że lody te były smaczne i nęciły podniebienie.

Ferie zimowe miały się ku końcowi. W czasie ich trwania byłem w pokoju sam. Było tak luźno, a teraz znów zrobiła się ciasnota.

Oleg przyjechał ostatni, jest pełen werwy i dowcipkuje. Swoim zwyczajem chwali się sukcesami u kobiet w swoich stronach. Wygląda na to, że w domu rodzinnym troszczył się o niego, bo wyraźnie się zaokrąglił.

Z dniem rozpoczęcia nauki sceneria z miejsca uległa zmianie, rozpoczął się znowu normalny, codzienny tryb życia studenckiego. Rano goliłem się codziennie, ale ileż to trzeba było wycierpieć, obdzierając twarde zarost tępawą żyłką *newa!* Potem ablucje wodne, śniadanie i wymarsz do Instytutu.

Nasz park przed Instytutem także zimą ma swoje uroki. Ładnie jest tu i ciekawie, gdy spadnie świeży, czystutki śnieg. Jego płatki osypują się z konarów drzew, łaskocząc przyjemnie zimnem twarz i szyję.

Przed salą wykładową z radością witam grono przyjaznych mi kolegów. Gratulujemy sobie rozpoczęcia drugiego półmetka studiów. Minęło już przecież dwa i pół roku naszych studenckich zmagani i tyleż pozostało do końca. To jest akurat w sam raz, ani za dużo, ani za mało. Bo przecież szkoda byłoby, gdyby tych lat studenckich pozostało nam mniej, po prostu chce się jeszcze побыć studentem, a z drugiej strony to jednak dobrze, że pierwszą połowę studiów ma się już za sobą.

Rozgadani, nawet nie spostrzegliśmy, kiedy na salę wszedł wykładowca, on także włączył się do naszych rozmów. Ale tylko zdawkowo i już po chwili nauka na VI semestrze rozpoczęła się na dobre.

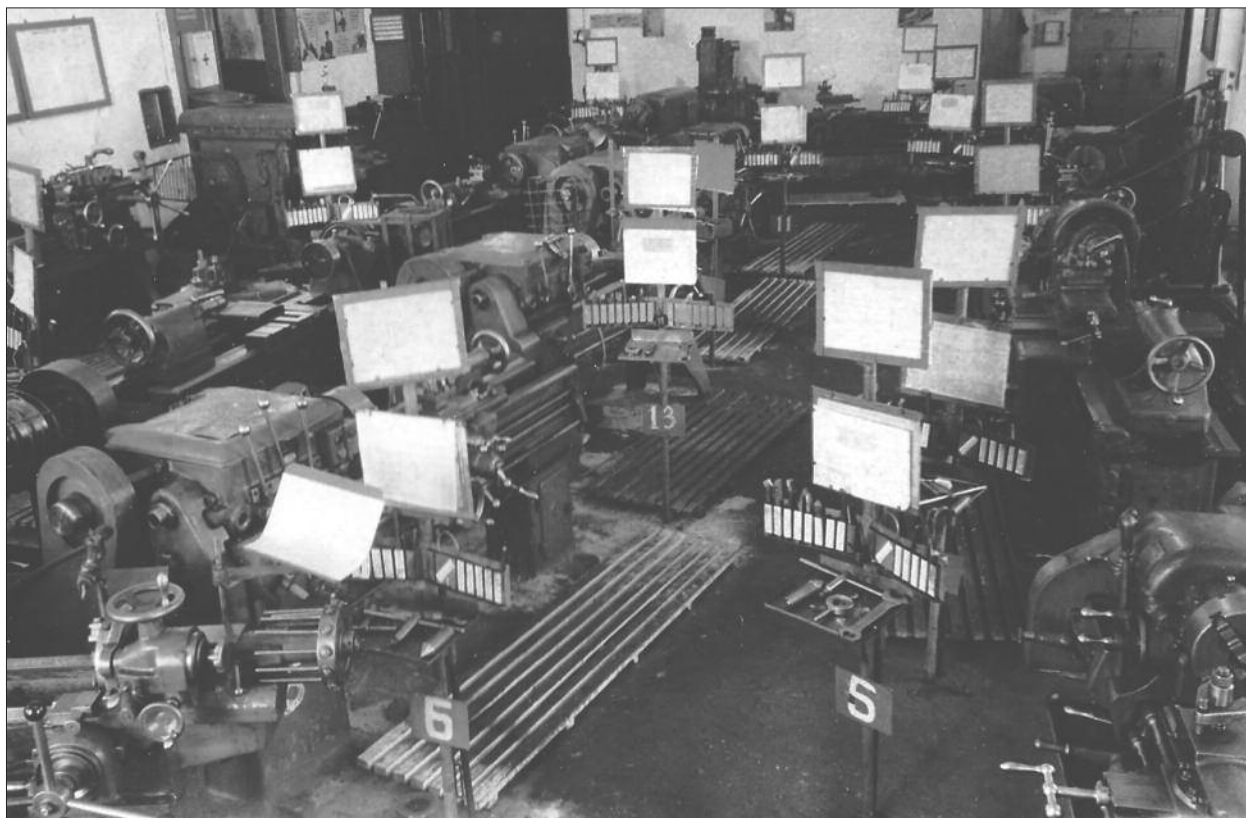
Rozpoczęły się wykłady nowego rozdziału teorii maszyn elektrycznych, a mianowicie nauka o uzwoje-

niach maszyn wirujących. Sposób prowadzenia wykładów nie wszystkim się podoba. Wydaje się, że wykładowca prowadzi wykład zbyt sztywno i w dodatku nie dowierza swojej pamięci; pisząc wzory na tablicy wciąż spogląda do trzymanej w rękę kartki. Ciekawe, czy na egzaminie nam także pozwoli ściągać?

Już po kilku dniach otrzymujemy zadania projektu semestralnego. Tym razem jest to elektryczna maszyna wirująca prądu stałego, dużej mocy.

I znów zaczęło się żmudne ślęczenie z suwakiem logarytmicznym w rękę nad wariantami obliczeń. Ale już po krótkim czasie uświadamiam sobie, że wyczuwam istotę projektowania. Z dnia na dzień rośnie ten projekt w mojej wyobraźni. Przylapuję się na tym, że myślę o nim wszędzie, nawet w najmniej stosownych ku temu okolicznościach. Teraz wiem co to są męki twórcze, nawet w technice.

Podobnie, jak przy poprzednim projekcie, tak i teraz raz w tygodniu chodzę na konsultację. Mój nowy konsultant jest wymagający w stopniu nie mniejszym niż poprzedni. Zdołał już zauważyć, iż ja wcale nie jestem nastawiony na łatwiznę, czy też na odstawianie *chaltury*. Chcę wykonać zadanie możliwie jak najlepiej i konsultant to docenia. Chętnie ze mną omawia uzys-



Politechnika Kijowska. Warsztat mechaniczny. Fot. z 1959 r. Autor nieznanym

kane z obliczeń parametry, tu i ówdzie coś proponuje i zachęca do poszukiwań optymalnego wariantu.

W pokoju, pomimo ciasnoty, panuje zgodna, nawet przyjazna atmosfera. Nikt nie okazuje uprzedzeń zwyczajowych ani antagonizmów narodowościowych. I chociaż studiujemy na różnych wydziałach, to jesteśmy złączeni myślami o solidarnym podejściu do obowiązków studenckich.

Szkoda, że Wołodzia ma wyraźne kłopoty z nauką. Od czasu do czasu lubi sobie ulżyć wypowiadając głośno i dosadnie zdanie o tym, co myśli o nierosyjskim nazewnictwie i oznaczeniach w matematyce. Nie ukrywa, że nauka idzie mu ciężko, a i z pieniędzmi jest krucho, więc nosi się z zamiarem przeniesienia na studia wieczorowe i ponownego podjęcia pracy w fabryce, może jeszcze nie teraz, lecz chyba już prawie na pewno od nowego roku akademickiego.

Bywały też w pokoju drobne uroczystości, podczas których na stole pojawiały się szklanki, a jeśli ich brakło, to i aluminiowe kubki. Było tak, gdy ktoś dla uczczenia ważnych w jego życiu dni przynosił butelkę wina, a zdarzało się, że i kilka butelek.

Ja postawiłem na stole butelkę wina w dniu moich imienin, to jest 19 marca. Wiedziałem, że tutaj obchodzi się powszechnie dzień urodzin, lecz ja nie jestem przecież tutejszy i kultuwuję swoje rodzinne tradycje. Nikt oczywiście nie miał nic przeciwko temu. Wszak to od kilku już lat w domach studenckich zamieszkują studenci różnych narodowości i zdążyli zaakceptować nawzajem swoje odrębne obyczaje i zapatrywania. A pamiętam, jak to jeszcze dwa lata temu powstawały zaciekłe spory z tytułu różnicy zapatrywań. Teraz dominują sprawy nauki i rozrywek, które jednakowo interesują wszystkich. A swoją drogą to te butelki wina także jakąś rolę i to chyba nie małą spełniły.

Dla przedłużenia ceremonii imienin Oleg wyciągnął z zakamarka swojej walizy butelkę moskowskiej. Ja wspominałem już wcześniej o swoich imieninach i wygląda na to, że Oleg po swoim się do nich przygotował. Oświadczył przy tym, że on wina nie pije.

Wszyscy byli przeciwni mieszaniu wina z wódką, a ja byłem temu nawet zdecydowanie przeciwny. Pamiętałem bowiem, jakie to kłopoty zdrowotne miałem po wypiciu mieszanych trunków z okazji świętowania 1 Maja w 1952 roku.

Oleg wlał dosyć sporo tego czystego, chlupiącego płynu do swojego aluminiowego kubka i wypił du-

szkiem wypowiadając zaraz potem słowo *колосса́льно*. Otarł usta mankietem koszuli, mówiąc, że *закусывает мануфактурой*. Powtórzył ceremoniał, odczekał chwilkę i jakby nabrawszy animuszu zwrócił się bezpośrednio do mnie. Więc przede wszystkim to on, Oleg M., składa mi serdeczne życzenia. A ponadto to on obserwuje mnie od pewnego już czasu, docenia mój zapał do nauki i wie, że nauka wymaga wyrzeczeń, ale radzi zdać sobie sprawę z tego, że czas ucieka i młode lata już nie wrócą. Jest zdania, iż nie zaniedbując nauki powinno się korzystać z uciech, które świat roztacza przed młodzieżą.

Pomyślałem sobie, że jeśli do używania świata Oleg zaliczał picie wódki, to ja się wtedy na to nie zgadzałem. Lecz na szczęście miał on na myśli co innego. Zapowiedział, że to używanie świata najlepiej jest rozpocząć od zaraz. Otóż on, jako członek Rady Studenckiej, zaprasza mnie na wieczorek taneczny, który odbędzie się dziś, była właśnie sobota, w naszym domu studenckim. Oleg zdaje sobie sprawę z tego, że tańce z dziewczętami z naszego domu studenckiego, wymęczonymi naukami ścisłymi, nie są żadną atrakcją i dlatego zaprosił dziewczyny z miasta, o których mówi, iż mają większą wyobraźnię, nie dodaje tylko w jakich sprawach. Podobno dziewczyny te wiedzą, że mieszkają w naszym domu studenckim *inostrancy*, więc na pewno przyjdą wystrojone.

Propozycję Olega chętnie akceptuję, bo akurat od kilku dni chodziła mi po głowie myśl, że dobrze byłoby gdzieś potańczyć, no i przy okazji poprzytulać się do młodych kobiet.

Tuż przed godziną dziewiętnastą Oleg wyprasza z dużej sali, przeznaczonej do nauki, upartych kujonów. Wychodzą niechętnie, wręcz z oporami. Trochę im współczuję, wszak jeszcze dwa lata temu ja także byłem przeciwny urządzaniu potańcówek w sali do nauki. Szkoda, że nie ma dla takich celów innego pomieszczenia.

Zawsze miałem na twarzy gęsty i twardy zarost. Przed tańcami ogoliłem się na świeżo, bo od rana odrosła mi widoczna czarna szciotka na policzkach i brodzie. Włożyłem też świeżą, jasną koszulę i hajda do sali balowej.

Stoły i krzesła zestawiono pod ścianami. Głośno przygrywa muzyka z płyt, jej pogłos niesie się po korytarzach, żeby wszyscy wiedzieli, że dziś u nas są tańce. Powoli schodzą się amatorzy zabawy, łączą się w pary i zaczynają wirować. Najczęściej są to walczyki tańczone w niezwykle szybkim tempie. W tym przyspieszonym wirowaniu był cały kawalerski szyk i fason tych tańców.

Jak na razie to tańczą tylko „sami swoi”, znajomi z domu studenckiego, tyle tylko, że odświętnie ubrani. Niestety, już wyczuwa się zapach mocnych perfum zmieszanych z potem rozgrzanych ciał. Pewnie nie wszystkim chciało się skorzystać z natrysków w umywalniach. Skropienie się mocnymi perfumami nie pomaga, a wręcz przeciwnie, tylko zagęszcza powietrze nieprzyjemnym odorem. Ponoć jeszcze sto lat temu anielice z bardzo dobrych domów także myły się rzadko, a często natomiast skrapiały się perfumami, ale to już nie te czasy i zwyczaje. Teraz woda i mydło są najlepszymi środkami higieny.

Kiedy zabawa rozkręciła się już na dobre, wołają Olega na portiernię. Przyjechały zaproszone dziewczyny z miasta i powołują się na Olega, bo tylko za jego wstawiennictwem mogą zostać wpuszczone. Oleg stropił się mocno, gdyż wiadomość ta bardzo komplikowała jego dzisiejsze zamiary. Na sali była bowiem Łarysa – mistrzyni w gimnastyce, do której Oleg sma-lił cholewki. Studiowali na tym samym fakultecie.

Po wejściu dziewczyn z miasta na sali pokraśniało, zrobiło się kolorowo, weselej i ciekawiej. Po prostu dziewczyny z miasta są bardziej zadbane i modniej ubrane. Świecą się im oczy na widok tak dużej ilości młodych, mądrych chłopców. Boć przecież ci chłopcy zostaną wkrótce inżynierami, a niektórzy z nich zajmą wysokie, intratne stanowiska, słowem mogą to być atrakcyjni kandydaci na mężów. Także niejednemu chłopakowi z kołchozu może trafić się gratka. Bo jeśli ożeniłby się z dziewczyną, która jest zameldowana w Kijowie, to on ma szansę też tutaj się zameldować i zamieszkać, najdalej za trzy lata, po odpracowaniu nakazu pracy na prowincji. Takie to spekulacyjne kombinacje chodziły po głowie niektórym młodym ludziom, którzy wychodzili z założenia, że miłość przemija, a na życie trzeba patrzeć trzeźwo, często z wyrachowaniem.

Wracając wszakże do tańców. Maestro od muzyki dostał już wskazania, iż trzeba zmienić repertuar. Nastawia więc płyty z tańcami wolniejszymi, żeby nie tylko obracać partnerkę w tańcu, lecz też żeby była okazja ją przytulić, wyczuć jak pod bluzeczką bije młode, spragnione miłości serce, jak pulsuje gorąca krew.

W stłoczonym stadku dziewczyn wpadła mi w oko młodzianka, bladolica brunetka. Dotąd prawie nie tańczyłem, lecz gdy ją dojrzałem, to od razu chciałbym z nią zatańczyć. Ale cóż? Mam spóźniony refleks. Zanim po kilku taktach muzyki wystartuję, to już ktoś mnie

ubiegnie. Stoję więc sobie pod ścianą i uparcie patrzę, jak wywija moja upatrzona brunetka.

W końcu postanawiam, że niech się dzieje co chce, ale ja muszę tę dziewczynę poprosić do tańca. A tu jak na złość ogłaszają *дамский вальс*, czyli panie proszą panów. Omal mnie szlag nie trafił! Ja tak długo zbierałem się na odwagę, a tu wszystko przypadło. Czy ja jeszcze raz zdobędę się na taką determinację? Lecz chyba nie będzie potrzeby, bo gdy tak patrzę zdumionymi oczami przed siebie, to widzę, że obiekt moich dzisiejszych westchnień i zachwytów zmierza właśnie w moją stronę. Zadziałała telepatia, czy co? Dziewczę uśmiecha się pięknie i dygnięciem zaprasza do walca. Niech już będzie i walc, byle tylko z nią.

Poczułem się jak ktoś wyjątkowy, że spotkało mnie takie wyróżnienie, że oto tak rozchwytywana na dzisiejszych tańcach piękna dziewczyna właśnie mnie poprosiła do białego walczyka. Ucieszony z miejsca przedstawiłem się i w odpowiedzi usłyszałem, iż moja partnerka ma na imię Dina. Jak to dobrze, że ona ma takie imię, właśnie chciałem, żeby moja znajoma dziewczyna miała na imię Dina.

Dziewczę, choć tak jeszcze młode, jest wszakże re-zolutne, śmiało i zalotnie patrzy mi w oczy, trzepocząc swymi długimi rzęsami. Cera jej twarzy to istna krew z mlekiem. Taką cerę mają tylko dziewczyny z rodzin od pokoleń zamieszkujących na Ukrainie, wychowane na owocach tej ziemi.

Uśmiechniętą twarzyczkę okalają pukle czarnych, połyskujących włosów. Ileż to wiosen może sobie liczyć to cudo? Jeśli już przyszła na tańce do domu studenckiego, to osiemnaście lat pewnie ukończyła.

Jakąż to pomocną rolę w poznawaniu się młodych ludzi mogą odgrywać tańce towarzyskie! Bo oto mogą tak legalnie objąć ramieniem poznaną przed chwilą dziewczynę i z początku ostrożnie, a potem coraz śmielej przytulać ją aż jej zacznie się to podobać i sama będzie się tulić. A ta moja młoda szelmutka wie, że sprawia mi to przyjemność i wcale się nie broni, a nawet, ot niby tak przypadkowo, podsuwa swoje wdzięki, gdy uważa, że postępuję zbyt nieśmiało. A ja wobec kobiet o wyrazistej urodzie, szczególnie tych co mi się bardzo podobały, zawsze czułem się onieśmieszony, często nieporadny.

Tym razem świat jakby mi zawirował w takt walca. Nagle wszystko na tej tak dobrze znanej mi sali wydało się tajemnicze i piękne.

Umówiliśmy się, iż do końca zabawy będziemy tańczyć tylko ze sobą. Ja, jako człowiek co nieco już ży-

ciowo doświadczony, zdawałem sobie sprawę z tego, iż tak młode dziewczę łatwo może zmienić zdanie, gdy ktoś bardziej atrakcyjny niż ja wpadnie jej w oko. Ale kiedy poprosiła mnie potem do białego tanga, byłem już pewny swego. Ktoś tam później powiedział, że Józek zaanektował Dinę na cały wieczór.

Po tańcach odprowadziłem Dinę i jej koleżankę do tramwaju. Umówiliśmy się na dzień następny na spotkanie w centrum miasta, obok kina „Kijów”.

Nazajutrz okazało się, że Dina, owszem, lubi kino, ale dziś chciałaby ze mną pospacerować po Kreszczatiku. Pomyślałem sobie, iż pewnie chce pokazać znajomym swego nowego chłopaka. Niech tam. Wiedziałem już coś niecoś o próżności kobiet. [...]

Spacerowało się szerokimi chodnikami, rzęsiście oświetlonymi przez gęsto rozmieszczone lampy uliczne, zawieszane wysoko na solidnych, ozdobnych podporach, odlanych z żeliwa. W nastroju odprężenia ludzie upajali się urokami wielkomiejskiego życia.

Dobrze mi było z Diną na spacerach. Było się z kim pokazać. Jej młodzieńcza uroda przyciągała wzrok nie tylko mężczyzn, ale także kobiet. Mnie to nie przeszkadzało, a wręcz przeciwnie, czułem się dumny z tego, że spaceruję z tak atrakcyjną dziewczyną. Szczególnie podkreślałem swoją ważność, gdy spotkałem kogoś bliżej znajomego.

Dina miała wszystko ładne i proporcjonalne. Lubiłem jej pełen ufności stosunek do świata. Była jak ta ptaszyna, co to świeżo opierzona wyfrunęła z gniazda i ciekawa świata cieszyła się swoją młodością. Przeciwności życiowe jeszcze nie obniżały jej lotów.

Jeśli przyjąć, że ulica Kreszczatik ma swój początek od strony Dniepru, bo tak zresztą zaczynała się numeracja domów, to spacerowało się głównie po prawej stronie tej ulicy.

Centrum miasta znajdowało się wtedy wciąż w generalnej przebudowie. Pierwsze nowe domy wybudowano po lewej stronie ulicy, naprzeciwko Uniwersytetu, gdyż ta właśnie część Kreszczatika ucierpiała najbardziej w czasie działań wojennych.

Szczególnie rzucały się w oczy dwa wolnostojące, dziesięciokondygnacyjne, nowo zbudowane okazałe gmachy o kształtach graniastosłupów. Ściany zewnętrzne tych budynków obłożono jasnożółtymi płytkami, jaskrawo połyskującymi w promieniach słonecznych. Zarówno kształt tych domów, jak i te ich zewnętrzne płytki, niby kafelki, powodowały, iż sprawiały one wrażenie olbrzymich pieców. I tak właśnie nazywali je mieszkańcy Kijowa: *большие печи*.

Na dolnych kondygnacjach nowych, dużych gmachów rozlokowane były przestronne sklepy, przeważnie z odzieżą. Wystrój tych sklepów był istic pałacowy. Połyskiwał marmur i lśniły sztuczne kryształy. Ten blichtr aż onieśmiał. Nawykły do bytowania w zbudowanych jeszcze za cara Mikołaja II studenckich „czworakach” czułem się niełacno w takich sklepach-pałacach.

Rozmach budownictwa widoczny był i w wielu innych miejscach Kreszczatika. Wychodzące z ziemi fundamenty świadczyły o tym, iż powstaną na nich monumentalne gmazyska. Ich dolne kondygnacje zostaną suto ozdobione ciężkimi kolumnami, a wierzchołki natomiast zostaną zwieńczone strzelistymi wieżyczkami. Tak solidne domy o grubych ścianach mogłyby w razie potrzeby spełniać z powodzeniem rolę bunkrów obronnych.

Ja także odczuwałem satysfakcję, że miasto Kijów tak się rozbudowuje. Było to w moim życiu pierwsze wielkie miasto, w którym przyszło mi mieszkać przez dłuższy czas, byłem wtedy pod urokiem życia wielkomiejskiego. Dobrze mi było w Kijowie. A gdy tuż obok, niby skowronek, szczebiotała Dinka, to już wprost nie posiadałem się ze szczęścia.

Upojeni urokami zwiastunów wczesnej wiosny spacerowaliśmy do późna, aż tłum na deptaku wyraźnie się przerzedził. Nieomylny to był znak dla Dinki, że pora wracać do domu.

I tak oto od spaceru na Kreszczatiku zaczęła się moja wiosna z Diną. Chronologicznie była to już trzecia moja wiosna w Kijowie, ale właśnie ta przyjemnie się zapowiadała, że spotkam ją z młodą, atrakcyjną mieszkanką Kijowa. Byleby tylko te wiosenne marzenia zdradne nie rozbijały zbyt szybko mojej fantazji i nie odciągały z nadto od nauki. Trzeba się będzie mieć na baczności i wprowadzić samokontrolę.

Ale jak dotąd to właśnie te wiosenne emocje raczej stymulowały mnie do jeszcze większego przyłożenia się do nauki. Chcę być w gronie dobrych studentów w grupie, chcę móc pochwalić się Diną, że otrzymuję dobre oceny. Skrupulatnie więc notuję na wykładach oraz starannie przygotowuję się do ćwiczeń i zajęć laboratoryjnych. To nic, że do sesji egzaminacyjnej tak jeszcze daleko. Wszak człowiek uczy się nie po to, by popisywać się dobrymi ocenami, chociaż i to także przynosi satysfakcję, lecz głównie po to, żeby zdobywać wiedzę i rozwijać swój inżynierski sposób myślenia.

W 1954 roku zarówno w Kijowie, jak i na całej Ukrainie uroczystości obchodzono 300-letnią rocznicę zjednoczenia Ukrainy z Rosją. Początek cyklu uroczystości miał miejsce 18 stycznia, w 300-letnią rocznicę Unii Pierejasławskiej. Punktem kulminacyjnym był koniec maja, po tym jak w dniu 22 maja odbyła się jubileuszowa sesja Rady Najwyższej USRR.

Nie wchodząc w szczegóły historyczne pamiętać wszakże trzeba, iż w 1654 roku tylko część dzisiejszej Ukrainy weszła w unię z Rosją. W tej właśnie części problemy społeczne najsilniej splatały się z narodowościowymi i obroną prawosławia. [...]

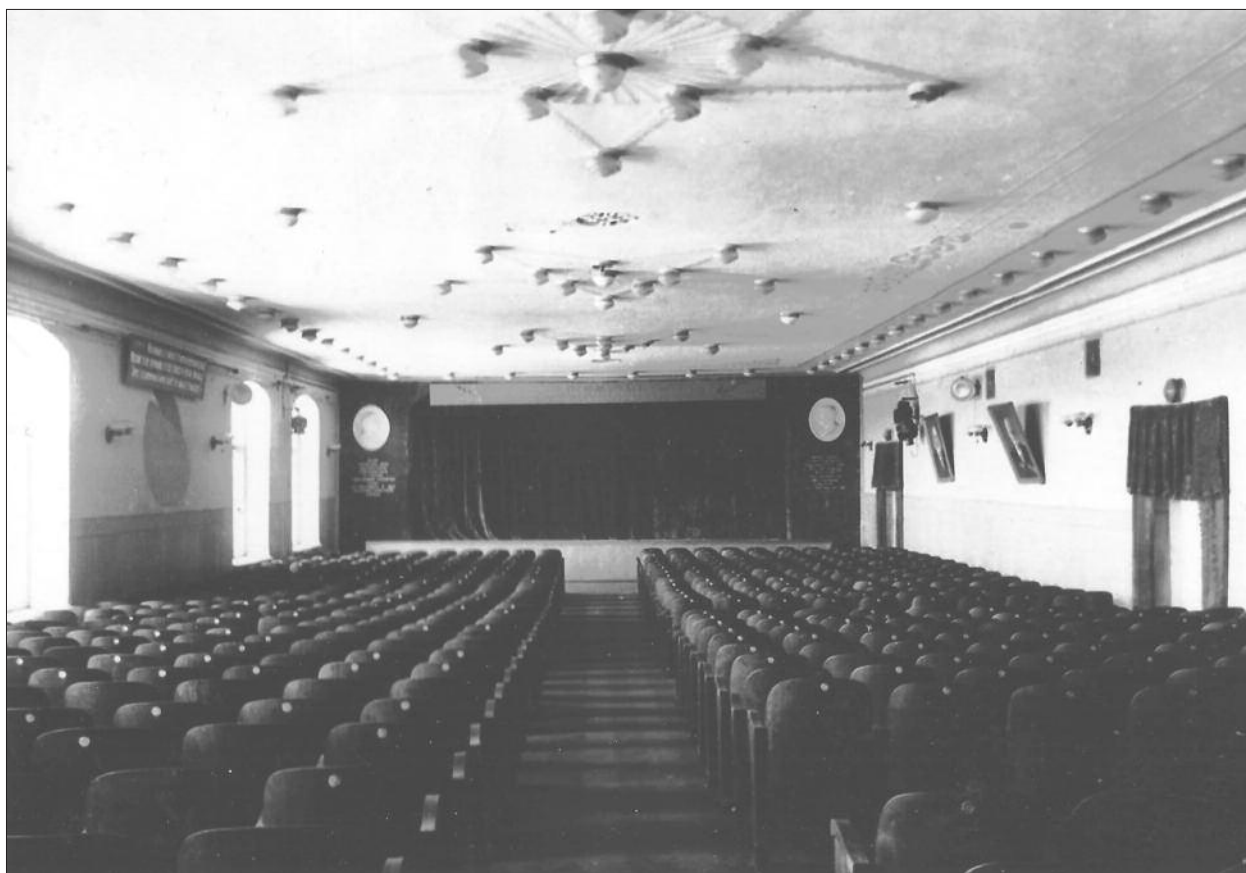
Spragniony sukcesów naszych sportowców, co roku, na początku maja, pasjonowałem się Kolarskim Wyścigiem Pokoju. Na początku lat pięćdziesiątych kolarze ZSRR nie brali jeszcze udziału w tej imprezie i pewnie dlatego skąpe były o niej wiadomości w radzieckiej prasie i radiu. Trzeba było biedzić się przy radiodiodbiorniku, żeby złapać Warszawę lub Wrocław. Pomoc w tym nieśli koledzy z CSRS. Oni także bardzo

interesowali się wynikami swoich kolarzy, a co najważniejsze, łatwiej im było usłyszeć swoje stacje radiowe.

Jeśli więc chciałem uzyskać pełniejsze informacje o losach kolejnego etapu, to szedłem do Duszana, przyjaźnie usposobionego do wszystkich Słowaka, który miał zwykle pełniejsze informacje. Dopingował go fakt, że tego roku jego rodacy spisywali się w wyścigu nadzwyczaj dobrze. Niestety, ku mojej głębokiej rozpaczy, Polacy nie przyjeżdżali na czołowych miejscach. Pomimo tego po każdym etapie skrupulatnie sporządzałem tabelę wyników i zawieszałem ją nad swoim łóżkiem.

Po jakimś czasie koledzy z pokoju także zaczęli się żywo interesować tym, co działo się na trasie wyścigu i nawet dopingowali mnie, żebym podawał informacje z *wietogonki*. [...]

Zbliżała się wiosenna sesja egzaminacyjna i te moje nastroje zabawowe trzeba było zdecydowanie okiełznać i solidniej pomyśleć o nauce. Zgodnie z programem po trzecim roku studiów będziemy mieli pierwszą praktykę produkcyjną w zakładzie wytwarzającym maszyny elektryczne. Dlatego wiosenna sesja egzaminacyjna będzie wcześniej niż na pierwszych dwóch latach studiów.



Politechnika Kijowska. Aula w gmachu głównym. Fot. z 1959 r. Autor nieznanym

Czas już też najwyższy zakończyć projekt semestralny. Obliczenia mam wykonane i zaakceptowane przez konsultanta. Trzeba jeszcze wykonać rysunki, a tak po prawdzie, to ja wolę robić obliczenia niż rysunki. Ale, jeśli już trzeba je zrobić, to się zrobi. Zamierzam zabrać się do tego twardo i to jak najszybciej. Tak po szwależersku: jak się bawić – to na całego, jak pracować – to solidnie. Mam także często na myśli strofy Mickiewiczowskie z wiersza „*Użyjmy więc żywota*”: „*Byś bawił się jak Greki i jak Rzymianin bił*”.

W niedzielę wczesnym rankiem, kiedy wszyscy w pokoju spali sobie w najlepsze, wybrałem się do Instytutu, żeby zająć miejsce przy desce kreślarskiej, takiej jak to są w biurach konstrukcyjnych. Desek takich starczało tylko dla rannych ptaszków i ja już o tym wiedziałem.

Rysowałem dzień cały, jedynie z krótką przerwą na obiad. Dobrze już się miało pod wieczór, gdy rysunek zestawieniowy był praktycznie gotów. Poszło mi tak sprawnie, bo koncepcję i główne zarysy miałem wcześniej rozpracowane na szkicach. Pozostały jeszcze opisy, a to było dla mnie utrapieniem. Charakteru pisma to ja sobie nigdy nie wyrobiłem. Dobrze że rysunki opisuje się pismem technicznym i można było pisać sobie litera po literze.

Projekt oddałem w przewidzianym terminie i uzyskałem wysoką ocenę. [...]

Podczas tej sesji przeżyłem sporo emocji, a miało to miejsce na egzaminie z elektroniki przemysłowej. Egzamin przyjmował młody profesor, który prowadził wykłady z tego przedmiotu w ciągu jednego semestru. Mówiono o nim, iż jest wymagający i rzadko stawia najwyższe oceny. Miało to okazać się prawdą, gdyż nawet najlepsi znawcy tego przedmiotu, którzy jako pierwsi wchodzili na salę, nie chcieli chwalić się po wyjściu z sali. Po ich minie widać było, że liczyli na wyższe noty niż otrzymali.

Ja, jak zazwyczaj, ociągałem się z wejściem, aby na korytarzu nasiąknąć atmosferą egzaminu, odpowiednio się zmobilizować i coś tam jeszcze praktycznej wiedzy na gorąco złapać na giełdzie pod drzwiami. Kosztuje to sporo nerwów, lecz czasami się opłaca. Tym razem opłaciło się sowicie.

Wszyscy wychodzący narzekają, że egzaminator po wysłuchaniu odpowiedzi na pytania z wyciągniętych kartek egzaminacyjnych przedkłada skomplikowany schemat sterowania elektronicznego i wymaga omó-

wienia jego działania. Jak dotychczas nikomu nie udało się udzielić zadowolającej odpowiedzi, przeto nikt nie uzyskał najwyższej oceny.

Na korytarzu zawrzało. Najtęższe głowy gryzą ten schemat, starając się znaleźć rozwiązanie. Głowią się nawet ci, co są już po egzaminie. Przysłuchuję się pilnie toczonym rozmowom, przywołuję wszystkie swoje moce poznawcze i myślę intensywnie. Po dobrej chwili utwierdziłem się w przekonaniu, że już wiem o jaką odpowiedź chodzi egzaminatorowi. Startuję więc do sali egzaminacyjnej, jak kawalerzysta do szarży.

Po aprobachie odpowiedzi na pytania z wylosowanej kartki egzaminacyjnej profesor przedkłada mi ten tak niestrawny dotąd schemat, robiąc zaciekawioną minę. Widzę jak weseleją mu oczy, że oto nareszcie ktoś nie „łamie się” na tym schemacie. Widzę jak z satysfakcją stawia mi *отлично* w indeksie. Ja oczywiście także jestem zadowolony i w przyływie szczerości już, już chciałem powiedzieć, że ten schemat to ja zrozumiałem dopiero pół godziny temu, na korytarzu, ale na szczęście opanowałem się jakoś. Mógłbym przecież zaszkodzić tym, co będą zdawali po mnie.

To moje *отлично* było jedną z nielicznych tak wysokich ocen, które profesor postawił na tym egzaminie. Rumun Ilia, kolega z grupy, zwykł porównywać swoje oceny z moimi i choć był niskiego wzrostu, to wysoko nosił głowę, jeśli otrzymywał notę wyższą od mojej. Tym razem wszakże zmarkotniał. Nie wierzył na słowo i aż zajrzał do mojego indeksu, aby przekonać się, czy czasami nie przechwalam się.

Pozostałe egzaminy przeszły bez większych emocji. Uzyskane oceny utwierdziły mnie w przekonaniu, iż na pewno zostanę inżynierem. I to już bliżej było niż dalej.

Po kilku dniach od zakończenia sesji egzaminacyjnej mamy jechać na praktykę produkcyjną do zakładu CHEMZ w Charkowie (*Харьковский электромашиный завод*). Nasza uczelnia jest państwowa i zakład, do którego się wybieramy też jest państwowy, zatem tam też będziemy u siebie i na swoim.

Przed wyjazdem, w ramach przysługi koleżeńskiej, być może sterowanej, poinformowano mnie, iż miasto Charków, choć jest to miasto wielkie oraz mimo to, że przed wojną było przez pewien okres stolicą Ukrainy, obecnie jest znacznie gorzej zaopatrywane w artykuły żywnościowe niż Kijów. Kupiłem więc przezornie dwa kilogramy cukru i okazało się, że warto go było wieźć

w walizie. Sporo czasu stałem za tym cukrem, gdy go „rzucili” do sklepu w centrum miasta.

Wiosną nie było cukru w ciągłej sprzedaży, nawet w Kijowie. Gospodynie domowe wykupywały każdą jego ilość, czyniąc zapasy na okres przyrządzania *warenija*, czyli konfitur z wiosennych i letnich owoców. A teraz, w czerwcu, akurat dojrzewały truskawki. Te powidła, o wysokiej zawartości cukru, podawano na przyjęciach domowych na spodeczku, jako dodatek do herbaty.

Zainteresowała mnie sprawa, dlaczego to przed wojną przez pewien okres stolicą Ukrainy był Charków a nie Kijów. Otóż uważano, iż Kijów był położony zbyt blisko granicy z Polską (linia Zbrucza) i w przypadku działań wojennych mógłby zostać szybko zajęty, jak to miało miejsce w maju 1920 roku, gdy wojska polskie, pod dowództwem Rydza Śmigłego, wkroczyły do Kijowa. Naczelnym wodzem całości wojsk polskich i działań na Ukrainie był oczywiście w tym czasie Józef Piłsudski.

Taka to w tamtych latach była przezorność rządu radzieckiego w stosunku do Kijowa. W czasie, gdy ja studiowałem, Kijów położony był daleko od granicy, a i układ sił był już zupełnie inny.

Wracając wszakże do spraw bardziej przyziemnych, to pomyślałem sobie, iż po należycie wykonanych obowiązkach studenckich mam pełne prawo popołgować sobie trochę i nacieszyć się wolnym czasem, jaki mi pozostał przed wyjazdem do Charkowa. Zadzwoeniłem do Diny i bardzo się ucieszyłem, gdy wyraziła zgodę na spotkanie. Będziemy sobie spacerować w alejkach wśród kwitnących jeszcze kasztanów i bogato wysadzonych kwiatami gazonów.

Wszak wiosna jeszcze trwa, rwie się do życia młode studenckie serce. Taki jestem szczęśliwy, kiedy tuż obok mnie znajduje się kipiąca młodością i urodą Dina. A kiedy spojrzę na mnie powłóczyście swymi promiennymi, fascynującymi oczami, to mnie wprost poraża.

Mówiąc obrazowo językiem elektryka, to jakbym został podłączony do źródła wysokiego napięcia. Kurczę się w sobie i zaczynam się jąkać. Jak to dobrze, że w Kijowie będę studiował jeszcze dwa lata, przed nami tyle wspólnych spacerów i emocji!

Przy pożegnaniu umawiamy się, że zadzwonię po powrocie z Charkowa i spotkamy się jeszcze przed moim wyjazdem do Polski.

Podróż do Charkowa upłynęła bez szczególnych emocji. Jak na odległości i czasy podróżowania w ZSRR była to taka sobie przejażdżka koleją.

Zakwaterowano nas w olbrzymim domu studenckim Politechniki Charkowskiej. Uderzał dziwny, niesymetryczny rozkład pięter i poziomów. Do bocznych korytarzy wchodziło się z półpięter. Na początku z nie-małym trudem odnajdywałem swój pokój, szczególnie gdy wchodziłem do budynku bocznymi wejściami. Słowem można się było pogubić w tym labiryncie, bo tak właśnie nazwany został przez studentów ten ich dom.

Praktykę odbywaliśmy na wydziale zwojenia wirników silników indukcyjnych. Wielki to był wydział, bo też i dużo maszyn tutaj produkowano. My na początku tylko podpatrujemy pracę robotników. Robimy to pilnie, gdyż warunkiem zaliczenia praktyki będzie własnoręczne uzwojenie wirnika przez dwóch studentów, którzy sami się dobiorą. Nadzorujący nas asystent z naszego Instytutu już na początku zapowiedział, że nie można będzie liczyć na żadną taryfę ulgową.

W położonym z dala od wielkich zbiorników wodnych i rzek Charkowie dokuczał czerwcowy upał. Lejący się z nieba suchy żar, niby jakaś magma, odbierał siły i paraliżował wolę. W fabryce w godzinach porannych można było jeszcze wytrzymać, ale po południu trudno już było znieść gorący zaduch. Śmierdziały pod



Chór Politechniki Kijowskiej.
Fot. z 1959 r. Autor nieznany

wpływem ciepła zawarte w materiałach izolacyjnych lakiery i rozpuszczalniki i to tak silnie, że robiło się człowiekowi niedobrze.

Wysoka temperatura powodowała odparowanie wszelkich związków chemicznych. Kiedy czułem się źle, wychodziłem na skwerek nieopodal hali produkcyjnej. Ktoś mądrze pomyślał z tą oazą zieleni, były tam nawet ławki, można było się ochłodzić i unormować oddychanie.

A swoją drogą to po raz kolejny przekonałem się, iż po przebytych w dzieciństwie chorobach mój system oddechowy nie jest odporny na wysokie temperatury i zanieczyszczone oparami chemicznymi powietrze. Teraz, podczas tej praktyki stwierdzam, że ja się do pracy na wydziale produkcyjnym nie nadaję, bo stale byłbym w stanie podduszonym, jak ryba w niedotlenionym stawie. Z tej praktyki w Charkowie wypłynęła i ta nauka, iż w przyszłości powinienem starać się o pracę w biurze, najlepiej konstrukcyjnym.

Ochłodzić się można było także w stołówce, zamawiając bardzo oziębioną zupę zwaną *okroszka* (chłodnik). Dużo było w tej zupie pokrojonej rzodkiewki i innych wczesnych warzyw.

Stołówki były dwie: jedna na parterze dla robotników, druga na piętrze dla pracowników inżynieryjno-technicznych. I tu znów zadziwia mnie ten system administracyjnego rozwarstwiania społeczeństwa i to w kraju, który zwie się socjalistycznym i rzekomo miłowymi krokami zmierza do komunizmu. Gdy zwierzam się ze swoimi wątpliwościami kolegom, próbując bagatelizować sprawę. Że są to jeszcze carskie zaszłości, to znów, że w stołówce na parterze są bardziej kaloryczne i nawet droższe dania. Stać było młodych robotników na droższe posiłki, bo średnio zarabiali znacznie lepiej od młodych inżynierów. Ponadto niektórzy robotnicy lubili kropnąć sobie przy obiedzie po setce *czyściuchy* i jakoby nie życzyli sobie, żeby kierownicy przyglądali się im podczas jedzenia. Trzeba wszakże dopowiedzieć, iż w stołówce na piętrze było spokojniej i utrzymywany był większy porządek. Oczywiście nie było zakazów i każdy mógł pójść do tej stołówki, do której sam chciał. Podział był zwyczajowy, lecz robotników w stołówce na gorze nie widywało się.

Nie mogłem jednak pogodzić się w duchu z taką segregacją, nawet jeśli była ona tylko zwyczajowa. Tak widocznie silnie miałem w sobie zakodowane poczucie sprawiedliwości społecznej. Jadałem najczęściej w stołówce na dole, gdyż faktycznie był tam większy wybór dań mięsnych, a i porcje były większe. Tylko ten

rozgotowany i zimny makaron, czy wodniste kasze, podawane do dań mięsnych zamiast ziemniaków, nie wyglądały apetycznie.

Ziemniaki o tej porze roku można było kupić na bazarze kolchozowym po cenach umownych. Brakowało w owym czasie w sklepach w Charkowie także wielu innych produktów spożywczych, głównie wędlin. Kijów pod tym względem to była przysłowiowa Kanada. A tutaj często trzeba się było zadowolić rybą z puszki, chociaż tak po prawdzie to smakował mi dorsz w oleju lub w pomidorach. Poza masłem, które trafiało się okazynie, inne produkty mleczne, jak chociażby bardzo dobre sery, można było dostać bez problemu.

W sposób naprawdę przemyślany i solidny rozwiązana była sprawa napojów. W większości dużych sklepów spożywczych były wydzielone stoiska z sokami. Można je było kupić na wynos w większych lub mniejszych pojemnikach lub pić na miejscu na szklanki. Za kilka kopiejek można było nabyć szklankę smacznego soku z winogron, czy też z pomidorów, do którego według własnego poczucia smaku dosypywało się łyżeczką szczyptę soli. Sprzedawano także sok brzożowy.

Na ulicach i placach, podobnie jak w Kijowie, stały saturatory z wodą gazowaną czystą lub z sokiem. Widoczne było, że ktoś tam myśli o potrzebach ludzkich, żeby każdy mógł zaspokoić pragnienie w tym gorącym, suchym, stepowym klimacie. Tutaj prawo wartości na pewno nie działało.

Pyszny był także kwas chlebowy, odpowiednio schłodzony i musujący przy nalewaniu. Małe jego porcje sprzedawano na szklanki, a duże nalewano do półlitrowych kufli, niczym piwo. Na ulicach kwas sprzedawano z olbrzymich beczek, wyglądających jak cysterny. Jakże smakował mi ten kwas w czasie upałów! Czułem wdzięczność dla tych, co opracowali recepturę tego napoju, a także dla tych, co przestrzegali technologii jego produkcji, tak, że ten kwas zawsze był smaczny.

Niemniej mnie, jako syna przedwojennego rzeźnika, trapiły braki smacznych wędlin i mięsa, że nie wspomnę o ziemniakach, których w moich stronach rodzinnych zawsze było pod dostatkiem. Świadczyło to o tym, że pomimo deklarowanych sukcesów gospodarczych sprawy rolnictwa nie zostały jeszcze do końca należycie rozwiązane. Gdy w gronie zaufanych znajomych poruszyłem ten temat, to jako jeden z argumentów podawano i to, że należałoby zaprzestać wyciągania ze wsi zdolnej młodzieży do miast do fabryk, a także na wyższe uczelnie. Przyczyn dopatrywano się wciąż jeszcze w olbrzymich zniszczeniach wojennych. Przecież po woj-

nie aż 25 mln obywateli ZSRR pozostało bez dachu nad głową, nie mogli więc oni wydajnie pracować.

Inni znów, jak mój nowy przyjaciel Wolka (Wsiwołód), który wywodził się właśnie z kołchozu, był przekonany, że rolnictwo rozwija się właściwie, czego dowodem jest dostatek chleba i produktów mlecznych. Inżynierów zaś kształcić należy i to jak najwięcej. Każdy inżynier, jego zdaniem, na pewno wniesie coś nowego w rozwój rodzimej techniki. Dzięki temu kraj będzie zdolny do obrony i nikomu do głowy nie przyjdzie chęć rozpętania nowej wojny światowej przeciwko potężnemu ZSRR.

Wolka walczył na froncie, był ranny i z autopsji wie, co to jest wojna. Dlatego też uważa, że dla zapewnienia pokoju należy z pogodą ducha znosić wszelkie niedogodności, a nawet wyrzeczenia. Byleby tylko nie było wojny, to inne sprawy na pewno da się wcześniej czy później rozwiązać.

Jeśli chodzi o mnie to byłem zdania, iż najlepiej byłoby zapewnić pokój i kielbasę, lecz jeśli nie można tego zrobić jednocześnie, to rzecz jasna najważniejszy jest pokój. Chociaż nie byłem na froncie, to wojna także dała mi się dobrze we znaki.

Takie to były w owym czasie rozmowy młodych ludzi, którzy mieli świeżo w pamięci okropności czasu wojny, widzieli śmierć kolegów i sami się o nią niejednokrotnie ocierali.

A tak na co dzień to Wolka był typowym Ukraińcem o kozackich manierach. Wyczuwało się, a nawet dobrze to było widać, iż za młodu wychowywał się wśród otoczenia silnie duchowo związanego z piękną ukraińską ziemią, tutejszymi legendami, klechdami i baśniami ludowymi. Ludziom wychowanym w tych bezkresnych dawniej stepach obok skłonności do nastrojów lirycznych nie brakowało także fantazji zawiadziackiej.

Minęły trzy tygodnie praktyki. Uzwoiliśmy z Wolką wirnik, kontrola techniczna wystawiła pozytywny atest i pierwsza praktyka produkcyjna została zaliczona. Była jeszcze rozmowa z projektantami z biura konstrukcyjnego i podczas niej kolejny raz utwierdziłem się w przekonaniu, iż najlepiej byłoby zostać w przyszłości konstruktorem.

Charków opuszczałem bez żalu. Panujące cały czas upały i to suche, stepowe powietrze dały mi się we znaki. Nawet nie było gdzie popływać, żeby się dobrze wychłodzić. A i z kąpaniem pod prysznicem też były kłopoty, bowiem na wyższych piętrach przeważnie nie było wody w kranach w godzinach popołudniowych.

Po powrocie do Kijowa od razu poczułem się jak u siebie w domu. Takie tu wszystko swojskie i przyjazne! Jeszcze tego samego dnia najadłem się do syta kielbasy. Nazajutrz, od samego rana, wybrałem się na plażę, ażeby popływać w Dnieprze i leżąc na piasku popatrzeć na malowniczą panoramę wzniesień po prawej stronie rzeki, za którymi leży miasto mojej młodości. Wróciło dobre samopoczucie, byłem nawet szczęśliwy, jako że na wieczór umówiłem się z Diną.

Naprawdę dobrze mi było w Kijowie. Po trzech latach pobytu już się tutaj zadomowiłem, lecz teraz są wakacje i ciągnie do swoich, do rodziny.

Jak zwykle, przed wyjazdem trzeba było pomyśleć o kupnie upominków. Tym razem będą one skromniejsze, gdyż zacząłem już odkładać pieniądze na kupno motocykla, który zamierzam sobie sprawić w przyszłym roku. Trochę oszczędności już mam, do tego dołożę prawie całe stypendium radzieckie za okres wakacji. Obliczyłem, iż odkładając co miesiąc po 220 rubli, już od lutego przyszłego roku będę mógł czatować w sklepach motoryzacyjnych na dostawy motocykli marki IŻ-49. Trzeba się będzie liczyć i z tym, że jakaś suma potrzebna będzie na opłacenie pośredników ułatwiających możliwości kupna. Ot chociażby za wcześniejsze zawiadomienie o mającej nastąpić dostawie. Takie były zwyczaje i nie dało się ich obejść, jeśli chciało się kupić coś atrakcyjnego w owym czasie. Była to realna rzeczywistość.

Niemniej przed wyjazdem trzeba coś kupić, ot chociażby kilka zegarków, bo jak tu przyjechać z ZSRR i nie przywieźć zegarków? A radzieckie zegarki uważane były w owym czasie za bardzo dobre, no i były stosunkowo tanie. Miały już swoje uznanie u użytkowników popularne *pobiedy*, pojawiły się już nowe marki o bardziej atrakcyjnych kształtach i ładnych tarczach cyfrowych. Zegarek w owym czasie był w Polsce wciąż mile widzianym upominkiem. Można też go było korzystnie sprzedać. A pieniądze były potrzebne, gdyż wypłacana w kraju część stypendium, w kwocie 320 złotych za każdy miesiąc wakacyjny, nie zaspokajała nawet średnich potrzeb młodego człowieka, pomimo że nie wydawałem jeszcze wtedy pieniędzy ani na alkohol, ani na papierosy. A przecież trzeba się było także ubrać na cały następny rok, a i kupić coś oryginalnego.

Zachowano pisownię oryginału

100. ROCZNICA NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI

TWÓRCY NIEPODLEGŁEJ (CZ. IV)

Józef Piłsudski, Roman Dmowski, Ignacy Jan Paderewski, Wincenty Witos, Ignacy Daszyński, Wojciech Korfanty – to wielcy Polacy, którzy współtworzyli odrodzoną po 123 latach niewoli Polskę. Reprezentowane przez nich obozy polityczne obierały różne drogi odzyskania wolności i w sposób odmienny sobie ową niepodległość wyobrażały, jednak mimo wszelkich różnic ideowych, stawiały sobie za cel pierwszoplanowy Polskę niepodległą. Ich rola w odzyskaniu i odbudowywaniu polskiej państwowości jest nieoceniona. Należy jednak mieć świadomość, że pojawienie się Polski na mapach Europy po blisko 123 latach nieobecności zawdzięczamy szerokim masom naszych Rodaków. Wszystkim tym, którzy przelewali krew w powstaniach i bitwach I wojny światowej i późniejszych walkach o ostateczne ukształtowanie granic. Tym wszystkim, którzy swoją codzienną pracą u podstaw stworzyli podwaliny gospodarki odrodzonego państwa. Ludziom nauki, kultury i sztuki, którzy przez ponad 120 lat nie tylko nie zapomnieli o Polsce, ale wręcz przeciwnie, krzewili narodową kulturę i nie pozwolili polskości przeminąć w pomroce dziejów. Kiedy w 1905 roku Henryk Sienkiewicz odbierał nagrodę Nobla za całokształt twórczości, do zgromadzonych w sali słuchaczy tak powiedział o swojej Ojczyźnie: *„Głoszono ją umartłą – a oto jeden z tysięcznych dowodów, że ona żyje, głoszono ją podbitą, a oto nowy dowód, że do podbojów jest zdolna”*. Niech słowa naszego wybitnego pisarza będą inspiracją także dla dzisiejszego pokolenia Polaków. Niech Polska żyje, a jej obywatele każdego dnia dowodzą światu, że nie ma dla nich rzeczy niemożliwych i nie ma takiej siły, która złamałaby ich ducha. Dokładnie tak, jak 100 lat temu dowiedli tego nasi pradziadkowie.

WOJCIECH KORFANTY

„Jedną tylko wypowiadam prośbę gorącą do ludu śląskiego a mianowicie, by został wierny swym zasadom chrześcijańskim i swemu przywiązaniu do Polski i by oddał swe głosy na kandydatów szczerze katolickich, polskich, mających zrozumienie dla interesów Górnego Śląska.”

(„Odezwa do ludu śląskiego”, 1927 r)

Wojciech Korfanty urodził się 20 kwietnia 1873 roku na Sadzawkach. Jego ojciec, Józef, był górnikiem na kopalni „Fanny”. Po ukończeniu szkoły ludowej w Siemianowicach uczęszczał do katowickiego Gimnazjum Królewskiego, gdzie włączył się w działalność organizacji polsko-katolickich. 14 sierpnia 1895 roku za skrytykowanie działań Bismarcka na zebraniu Towarzystwa św. Alojzego został relegowany ze szkoły. Pomógł mu wówczas poseł do Reichstagu z Wielkopolski Jan Kościelski, dzięki protekcji którego ukończył eksternistycznie gimnazjum, po czym podjął studia w Charlottenburgu, skąd jesienią 1896 roku przeniósł się na Uniwersytet Wrocławski. Ostatecznie studia ukończył w roku 1901 w Berlinie. W tym miejscu warto podkreślić, iż niewielu Polaków, zwłaszcza z rodzin ro-

botnicznych, w tamtych czasach studiowało, a na Górnym Śląsku było to prawdziwy ewenement.

W tym czasie związał się na długie lata z Ligą Narodową. W tymże 1901 roku został redaktorem naczelnym „Górnoślązaka”. Miał dobre pióro, a jego bezkompromisowe teksty, w których bronił praw mieszkających w zaborze niemieckim Polaków, zjednały mu wielu sympatyków, ale i wrogów. W rezultacie na cztery miesiące trafił do więzienia, przez co zyskał sobie miano męczennika sprawy polskiej.

To otworzyło mu drogę do Reichstagu. 9 listopada 1902 roku utworzone zostało Polskie Towarzystwo Wyborcze na Śląsku. Wojciech Korfanty kandydował z okręgu katowicko-zabrzskiego. Po raz pierwszy na Śląsku Polak kandydował do niemieckiego parlamentu z polskiej listy. Dotąd bowiem Polacy kandydujący do Reichstagu reprezentowali partię Centrum.

Wojciech Korfanty uzyskał 50,7% głosów i został postem. Po latach tak wspominał te wydarzenia: *„Walka polityczna i narodowa, walka wyborcza wrzała w całej pełni. Pisywanie artykułów, bieganie z wiecu na wiec, z posiedzenia na posiedzenie, organizowanie ludu, udzielanie porad wypełniało mi jeden dzień po drugim. Szykany policji, procesy nie ustają, dość powiedzieć, że pod rządami pruskimi byłem coś 70 razy karany za przestępstwa polityczne. Ile godzin spędziłem na przesłuchaniach, ile razy były za mną wysyłane listy gończe, ile*



grzywien się napłaciłem [...] W dzień zwycięstwa masy polskie opanowały ulice Katowic i po raz pierwszy zabrzmiała melodia «Jeszcze Polska nie zginęła». Odbiło się to głośnym echem po całej Polsce, która dowiedziała się dopiero, że na Górnym Śląsku żyje lud polski, czujący po polsku».

W latach 1903–1912 i w roku 1918 Wojciech Korfanty był posłem do Reichstagu, a w latach 1903–1918 do pruskiego Landtagu. 25 października 1918 roku, gdy dobiegała końca I wojna światowa i jasnym stało się, iż Niemcy wyjdą z tej wojny pokonane, wystąpił w Reichstagu z głośnym żądaniem przyłączenia do odradzającego się państwa polskiego wszystkich ziem polskich zaboru pruskiego, a więc Prus Królewskich z Gdańskiem, Wielkopolski, części Prus Książęcych, a także Górnego i Środkowego Śląska.

Wojciech Korfanty wszedł w skład utworzonego 12 listopada 1918 roku Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej, czyli jej organu wykonawczego. Przypomnijmy, iż głównym zadaniem, jakie stawiała sobie Naczelna Rada Ludowa, powołana do życia przez polskie ugrupowania społeczne i polityczne z Wielkopolski i Górnego Śląska, było pokojowe przejęcie ziem zaboru pruskiego przez odradzające się państwo polskie. Kiedy wybuchło Powstanie Wielkopolskie, przejęła NRL władzę cywilną i wojskową nad wyzwolonymi ziemiami. 19 sierpnia uległa ona samorozwiązaniu, przekazując uprzednio swe kompetencje Rządowi Rzeczypospolitej Polskiej, który objął w posiadanie Wielkopolskę.

W styczniu 1920 roku rząd polski mianował go komisarzem plebiscytowym na Górnym Śląsku, czyniąc go odpowiedzialnym za całość przygotowań organiza-

Wojciech Korfanty. Życie prywatne

Narzeczoną Wojciecha Korfantego była ekspedientka z bytomskiego domu towarowego braci Barasch, Elżbieta Szprotówna. Termin ślubu wyzna-



Wojciech Korfanty z żoną Elżbietą

czono na 1 lipca 1903 roku w kościele pw. Świętej Trójcy. W przeddzień tej daty niespodziewanie proboszcz Reinhold Schrimense zwrócił mu ofiarę i uzależnił udzielenie ślubu od przeproszenia krytykowanych przez Wojciecha Korfantego proniemieckich księży (m.in. odmawiali Polakom rozgrzeszenia za czytanie propolskiej prasy). Inspiratorem odmowy mógł być władający diecezją wrocławską kardynał Georg Kopp.

Korfanty odmówił przeprosin, wyjechał z narzeczoną do Krakowa, tu dopełnił obowiązku sześciu tygodni zamieszkania w monarchii habsburskiej, a następnie udzielono mu w końcu ślubu w kościele pw. Św. Krzyża 5 października 1903 roku przy poparciu kleru krakowskiego.

Ze związku tego urodziło się czworo dzieci: Witold (ur. 1910 r., zm. 1938 r.), Zbigniew (ur. 1905 r., zm. 18 lipca 1970 r. w Dallas), Halżka (zm. 1990 r. w Bostonie) i Maria (ur. 1908 r., zm. 6 października 1996 r. w Nowym Jorku).

Opuścili Polskę w 1939 r., zamieszkali m.in. w Kanadzie i w Wielkiej Brytanii.

Miał braci: Andrzeja (1879–1973) i Jana (ur. 1883 r., zm. w grudniu 1947 r.).

Żona Wojciecha Korfantego, Elżbieta, wróciła do Polski po wojnie w 1945 r. i zamieszkała w Katowicach u swoich sióstr. Zmarła 8 stycznia 1966 r. i została pochowana w grobowcu, obok męża.

cyjnych, propagandowych i politycznych. Po przegranym plebiscytcie stanął na czele III Powstania Śląskiego, które doprowadziło do przyłączenia części Górnego Śląska (z Siemianowicami) do Polski.

W odrodzonej Polsce jego kariera nie potoczyła się tak, jak mógłby sobie tego wymarzyć... Już w trakcie Powstań Śląskich narastał jego konflikt z obozem piłsudczykowski, który próbował w trakcie III Powstania Śląskiego doprowadzić do przewrotu, co skończyło się aresztowaniem przez zwolenników Korfantego przywódców buntu, wśród których był późniejszy wojewoda śląski Michał Grażyński.

W latach 1922–1930 Korfanty był posłem na Sejm RP z ramienia Chrześcijańskiej Demokracji. 14 lipca 1922 roku został desygnowany przez Komisję Główną Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej na premiera rządu. Jednak wobec protestu Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, który zagroził podaniem się do dymisji, oraz groźby przeprowadzenia strajku generalnego przez PPS, nie rozpoczął formowania rządu, a 29 lipca komisja wycofała jego desygnację.

Od października do grudnia 1923 roku sprawował funkcję wicepremiera w rządzie, na czele którego stał Wincenty Witos. W 1924 rozpoczął wydawanie dzienników „Rzeczpospolita” i „Polonia”. Po przewrocie majowym znalazł się w opozycji wobec Marszałka Józefa Piłsudskiego.

W 1930 roku został aresztowany i osadzony w twierdzy brzeskiej. Po uwolnieniu powrócił na Górny Śląsk, gdzie jednak na każdym kroku spotykały go szykany ze strony zwolenników Michała Grażyńskiego. W kwietniu 1935 roku udał się na emigrację do Czechosłowacji. W roku 1936 wraz z Ignacym Paderewskim, Józefem Hallerem i Wincentym Witosem brał udział w rozmowach politycznych w sprawie utworzenia tzw. Frontu Morges. Był jednym z organizatorów i pierwszym prezesem Stronnictwa Pracy, powstałego w 1937 roku z połączenia Chadecji i Narodowej Partii Robotniczej. Po aneksji Czechosłowacji przez Niemcy wyjechał do Francji, lecz w obliczu groźby wybuchu wojny potajemnie wrócił do kraju.

W kwietniu 1939 roku został aresztowany na podstawie sankcji prokuratorskiej, lecz z uwagi na zły stan zdrowia po trzech miesiącach został zwolniony. Niedługo potem, 17 sierpnia 1939 roku, zmarł.

Wojciech KEMPA

niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

Wojciech Korfanty. Cytaty

Bezrobotni są bez środków do życia... Ja sam przyznaje się do tego, że wymarzona przeze mnie wolna i niezależna Polska, za którą walczyłem i cierpiałem, przedstawia się inaczej.

—

My, Polacy, od pierwszej chwili, gdyśmy do tego parlamentu wstąpili, uważaliśmy się zawsze za przedstawicieli narodu polskiego.

—

Nie zwalczam instytucji, tylko człowieka, który nią kieruje, a który jest efemerydą, zjawiskiem chwilowym jak my wszyscy w stosunku do Polski [...], jestem przeciwnikiem obecnego rządu bo mam inne poglądy polityczne, ale niech ten sam rząd przyśle tutaj na stanowisko wojewody człowieka porządnego, to my się z nim na punkcie potrzeb śląskich dogadamy.

—

Mam za sobą przeszło 35 lat służby publicznej i pracy dla Polski. Czytania nauczyła mnie matka moja na „Żywotach Świętych Skargi”, które nieboszyk mój ojciec otrzymał w upominku opuszczając szkołę ludową. Zaslugę mojego uświadczenia narodowego przypisać muszę moim haka-tystycznym profesorom w gimnazjum w Katowicach, którzy zohydowaniem wszystkiego co polskie i co katolickie wzbudzili we mnie ciekawość do książki polskiej, z której pragnąłem się dowiedzieć, czym jest ten łzony i poniżany naród, którego językiem w mojej rodzinie mówiłem.

—

Dożyliśmy nareszcie wielkiej dziejowej chwili, gdy żołnierz polski wkroczył na nasz kochany, z jarzma pruskiego wyzwolony Górny Śląsk. Ogar-
nął nas wszystkich szal entuzjazmu. Spełniło się, o cośmy walczyli i krew przelewali. Dla mnie był to najpiękniejszy dzień życia, kiedy wojska polskie wkroczyły do Katowic, kiedy na rynku stolicy nowego województwa odbywały się wspaniałe uroczystości przejmowania Śląska przez Polskę. Było to spełnieniem marzeń mego życia i najpiękniejszą nagrodą za mą pracę.

—

TOBIE, OJCZYZNO, ŚPIEWAM...

Były odzwierciedleniem narodowych tragedii, niepokojów, tęsknot i najskrytszych marzeń Polaków. Wyrażały ich smutki i radości. Prowadziły, wskazywały drogę, podnosiły na duchu. Niosły NADZIEJĘ. Polskie pieśni patriotyczne. Oto jedna z nich.



SZARA PIECHOTA

Jest to najważniejsza pieśń piechoty (formacji wojskowej, która zdobyła znaczenie od czasu I wojny światowej), a jednocześnie jest jedną z najpopularniejszych pieśni żołnierskich XX wieku.

Historycy mają wątpliwości co do autorstwa melodii i tekstu. Część opracowań na ten temat podaje jako głównego autora podpułkownika Leona Łuskino (np. Wacław Panek, „Hymny polskie”, Warszawa, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, 1997), który miał napisać ten utwór pod pieśń „Ułani, ułani” Bolesława Lubicz-Zahorskiego. Inne źródła podają Łuskino jako autora muzyki, a Lubicz-Zahorskiego jako autora tekstu. Pierwotnie pieśń zaczynała się od słów „*Nie nosim wyłogów i szary nasz strój*”, co nawiązywało do kroju i barwy mundurów legionowej piechoty.

Nie wiemy kiedy dokładnie powstała ta pieśń. Większość opracowań podaje rok 1918. Po raz pierwszy opublikowano tę pieśń w Ostrowie w „Wojskowym śpiewniku żołnierza polskiego” (1929). Inny znany tytuł tej pieśni to „Maszerują strzelcy, maszerują”.

Podstawowa wersja jest opisem marszu legionowej piechoty, podkreślającym dumę jej żołnierzy z walki o wolność odradzającej się Polski oraz ich odwagę i pogardę śmierci. Tekst ów śpiewany jest często z jednym błędem – w refrenie słowa „*A przed nimi drzewce salutują*” zastępowane są czasem przez „*A przed nimi drzewa salutują*”. Nie drzewa, tylko drzewce legionowych sztandarów.

W czasie II wojny światowej wykorzystano melodię „Szarej piechoty” do wielu nowych piosenek partyzanckich, żołnierskich, powstańczych i jenieckich.

♩ = 115

Nie no-szą lam-pa-sów lecz sza-ry ich strój, nie no-szą ni sre-bra, ni zło - ta, lecz
 6 w pier-wszym sze-re - gu po - dą - ża na bój Pie-cho-ta, ta sza - ra Pie-cho - ta, lecz
 10 w pier-wszym sze-re - gu po - dą - ża na bój Pie-cho-ta, ta sza - ra Pie-cho - ta.
 14 Ma-sze-ru - ją strzel-cy, ma - sze - ru - ją, ka-ra-bi-ny blysz-czą, sza - ry strój,
 18 a przed ni-mi drzew-ce sa - lu - tu - ją, bo za na-szą Pol-skę i - dą w bój

Szara piechota

Nie noszą lampasów, lecz szary ich strój,
 Nie noszą ni srebra, ni złota,
 Lecz w pierwszym szeregu podąża na bój,
 Piechota, ta szara piechota.

Ref. Maszerują chłopcy, maszerują,
 Karabiny błyszczą, szary strój,
 A przed nimi drzewce salutują,
 Bo za naszą Polskę idą w bój!

Idą, a w słońcu kołysze się stal,
 Dziewczęta zerkają zza płota,
 A oczy ich dumnie utkwione są w dal,
 Piechota, ta szara piechota!

Ref. Maszerują chłopcy, maszerują,
 Karabiny błyszczą, szary strój,
 A przed nimi drzewce salutują,
 Bo za naszą Polskę idą w bój!

Nie grają im surmy, nie huczy im róg,
 A śmierć im pod stopy się miota,
 Lecz w pierwszym szeregu podąża na bój
 Piechota, ta szara piechota.

Ref. Maszerują chłopcy, maszerują,
 Karabiny błyszczą, szary strój,
 A przed nimi drzewce salutują,
 Bo za naszą Polskę idą w bój!

Miarowo bagnetów kołysze się łan,
 A w sercu ich szczerą ochotę,
 Ze śpiewem do boju wyrusza jak w tan,
 Piechota ta szara piechota.

Ref. Maszerują chłopcy, maszerują,
 Karabiny błyszczą, szary strój,
 A przed nimi drzewce salutują,
 Bo za naszą Polskę idą w bój!



Bolesław LUBICZ-ZAHORSKI**ps. „Filip”**

Polski działacz niepodległościowy, członek Organizacji Bojowej PPS, publicysta, poeta, bibliotekarz.

Urodził się w 1887 roku na Kresach Wschodnich, w majątku rodzinnym Teklomir na terenie późniejszego powiatu Wilejka, w rodzinie ziemiańskiej, był synem Michała i Heleny ze Stankiewiczów.

Od młodości był związany z ruchem socjalistycznym. Był działaczem PPS, należał do Organizacji Bojowej PPS. Brał udział w działaniach Rewolucji 1905. W 1906 roku został skazany przez władze carskie na 4 lata katorgi na Syberii. Zbiegł z zesłania z Zierientuja, po czym powrócił na ziemie polskie i nadal działał w ruchu socjalistycznym, najpierw w Łodzi, następnie w Zagłębiu Dąbrowskim. W czasie I wojny światowej był żołnierzem 1 pułku ułanów Legionów Polskich. Działał w Polskiej Organizacji Wojskowej. Od 1918 roku walczył w wojnie polsko-bolszewickiej w szeregach Wojska Polskiego. Uczestniczył w wyprawie wileńskiej.

W latach 1919–1920 pracował jako kierownik Oddziału Informatyczno-Politycznego przy dowództwie 1 Dywizji Litewsko-Białoruskiej. W tym czasie był zastępcą naczelnika oddziału werbunkowego Wojska Polskiego w Mińsku w stopniu podporucznika. Później awansowany na porucznika. Działał w zarządzie Towarzystwa im. Józefa Piłsudskiego w Mińsku. Brał udział w misji wojskowej na Łotwie.

W 1921 roku objął stanowisko kierownika działu wydawnictw periodycznych Biblioteki Publicznej w Warszawie. Jednocześnie zamieszkał w suterenie biblioteki wraz z poślubioną w tym czasie żoną. Podczas pracy 3 marca 1922 roku usiłował sprawdzić przyczynę zalewania wodą sufitu gmachu biblioteki, w tym celu wszedł na szklany dach, który pod ciężarem załamał się, wskutek czego Zahorski upadł z wysokości dwóch pięter do wnętrza gmachu, trafiając na stół i w wyniku odniesionych obrażeń zmarł na miejscu. Został pochowany 8 marca 1922 roku na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie.

Był bratem szachisty Eugeniusza Zahorskiego.



1 kompania 22 pułku piechoty. *Archiwum B. Targaiskiej*

Przyjmuje się, że jest autorem słów do piosenki żołnierskiej „Szara piechota” i pieśni „Łodzianka”

Opublikował książki „Jutro: jednodniówka robotnicza”, „Pobojowisko: nowele, sylwetki, szkice”, „Wiersze piłsudczyka”.

Leon ŁUSKINO

Urodził się 11 kwietnia 1872 roku w Chęcinach jako syn syn Ksawerego (pułkownik Armii Imperium Rosyjskiego) i Józefy z domu Krauze. Od 1889 roku służył w 28 Połockim Pułku Piechoty Armii Imperium Rosyjskiego, od 1890 do 1892 roku odbył kurs w szkole junkrów w Odessie i wstąpił do Armii Imperium Rosyjskiego. Mianowany podporucznikiem w 1892 roku, następnie porucznikiem w 1896 roku. Uczestniczył w wojnie rosyjsko-japońskiej jako dowódca kompanii. W 1907 roku został awansowany do stopnia kapitana. W 1913 roku został absolwentem studiów w szkole oficerów sztabowych w Oranienbaum.

Podczas I wojny światowej był dowódcą zapasowego 291 pułku piechoty od 6 czerwca 1916 do 22 grudnia 1917 roku, po czym wystąpił z armii radzieckiej. Od kwietnia 1918 roku pełnił funkcję referenta do spraw wojskowych Polskiego Przedstawicielstwa w Piotrogradzie. W 1919 roku został uwięziony przez sowieców, a na początku 1920 roku uwolniony i przekazany do Polski w grupie zakładników. Wstąpił do Wojska Polskiego. 1 kwietnia 1920 roku mianowany podpułkownikiem piechoty. Jako oficer nadetatowy 21 pułku piechoty od 1920 do 1925 roku sprawował stanowisko zastępcy szefa Oddziału V (personalnego) Sztabu w Ministerstwie Spraw Wojskowych. W 1925 roku sprawował stanowisko przewodniczącego Sądu Honorowego dla Oficerów Sztabowych przy Ministerstwie Spraw Wojskowych. Od 1925 do 1926 roku służył w 26 Dywizji Piechoty w garnizonie Skierniewice. Został awansowany do stopnia pułkownika piechoty. Od 1926 roku był zastępcą szefa Oddziału V w Sza-

bie Generalnym Wojska Polskiego. 4 lutego 1927 roku został mianowany szefem Wydziału Wyznań Niekatolickich Ministerstwa Spraw Wojskowych (etat generalski). Z dniem 30 września 1927 roku został przeniesiony w stan spoczynku.

Rozpoczął pracę w administracji cywilnej. Od lutego 1928 roku był wydawcą pisma „Gospodarz Polski”. Następnie został kierownikiem Centralnego Biura Filmowego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, gdzie kierował komórką cenzury filmowej. Cenzura ingerowała w filmy zagraniczne, usuwając z nich nieraz więcej niż połowę treści. W przypadku filmów polskich cenzorzy ingerowali w proces produkcji, wymuszając odpowiedni kształt scenariusza i ingerując w dialogi. Tygodnik „Jutro Pracy” nazwał zespół cenzorski kierowany przez Łuskinę „filmową Ochraną”. Działał także na polu kulturalnym. Był kompozytorem i twórcą piosenek. Został autorem pieśni żołnierskiej „Szara piechota”, autorem słów piosenek wykonywanych przez Hanke Ordonówną („Dwie majstrowe”, „Wróżka”, „Rodzinna radość”, „Marzenie” – autor słów i muzyki), Zofię Terné. Był wykonawcą piosenek w warszawskim teatryku Qui Pro Quo.

Poniósł śmierć 9 maja 1948 roku w wyniku kolizji z kolejką na warszawskim Czerniakowie. Został pochowany na Cmentarzu Czerniakowskim.

Jego żoną była Aleksandra z domu Kopernik. Nie mieli dzieci.

Posiadał następujące odznaczenia: Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski (2 maja 1923), Medal Pamiątkowy za Wojnę 1918–1921, Medal Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości, Order Świętego Stanisława II klasy (Imperium Rosyjskie), Order Świętego Stanisława III klasy (Imperium Rosyjskie), Order Świętej Anny II klasy (Imperium Rosyjskie), Order Świętej Anny III klasy (Imperium Rosyjskie), Order Świętego Włodzimierza IV klasy (Imperium Rosyjskie), Kawaler Legii Honorowej (III Republika Francuska, 1923), Medal Zwycięstwa (międzysojuszniczy).

Wykorzystano materiały z Internetu



„JEDNAKŻE MIŁO BYĆ POLAKIEM...”

Polskie wiersze patriotyczne

***(WY, KTÓRZY POSPOLITĄ RZECZĄ WŁADACIE)

Wy, którzy pospolitą rzeczą władacie,
A ludzką sprawiedliwość w ręku trzymacie,
Wy, mówię, którym ludzi paść poruczono
I zwierzchności nad stadem bożym zwierzono:

Miejcie to przed oczyma zawždy swojemi,
Żeście miejsce zasiedli boże na ziemi,
Z którego macie nie tak swe własne rzeczy,
Jako wszytek ludzki mieć rodzaj na pieczy.

A wam więc nad mniejszymi zwierzchność
jest dana.

Ale i sami macie nad sobą pana,
Któremu kiedykolwiek spraw swych uczynić
Poczet macie: trudnoż tam krzywemu wynić.

Nie bierze ten pan darów ani się pyta,
Jeśli kto chłop czyli się grofem poczyta,
W siermiędzieli go widzi, w złotychli głowach;
Jeśli namniej przewinił, być mu w okowach.

Więc ja podobno z mniejszym
niebezpieczeństwem
Grzeszę, bo sam się tracę swym
wszeteczeństwem.

Przełożonych występy miasta zgubiły
I szerokie do gruntu carstwa zniszczyły.

Jan Kochanowski (1530–1584)



GDYBY

Gdybym ja był Szwajcarem, stałbym ja
na warcie,
Gdybym ja był Rusinem, mówiłbym otwarcie,
Gdybym ja był Hiszpanem, nie dałbym się
złotem,

Gdybym ja był Francuzem, nie byłbym
ja trzpiotem,
Gdybym ja był Holendrem, mniej byłbym
prostakiem,
Gdybym był Angielczykiem, nie byłbym
dziwakiem,
Gdybym ja był Turczynek, nigdy bym
nie fukał,
Gdybym ja miał być Włochem, ja bym
nie oszukał,
Gdybym był Algierczykiem, nie kradłbym,
nie łupił,
Gdybym ja miał być Niemcem, ja bym się
nie upił,
Gdybym ja był Węgrzynem, dałbym
wino tanio;

A jak to być Polakiem, gdy Polaków ganią?
Niedobrze być nierządny, słabym,
mizerakiem,
Wiem ja o tym, jednakże miło być Polakiem.

Ignacy Krasicki (1735–1801)



DO MATKI POLKI

Wiersz pisany w roku 1830

O matko Polko! gdy u syna twego
W źrenicach błyszczy geniuszu świetność,
Jeśli mu patrzy z czoła dziecinnego
Dawnych Polaków duma i szlachetność;

Jeśli rzuciwszy rówienników grono
Do starca bieży, co mu dumy pieje,
Jeżeli słucha z głową pochyloną,
Kiedy mu przodków powiadają dzieje:

O matko Polko! źle się twój syn bawi!
Klęknij przed Matki Boleśnej obrazem
I na miecz patrzaj, co Jej serce krwawi:
Takim wróg piersi twe przeszyje razem!

Bo choć w pokoju zakwitnie świat cały,
Choć się sprzymierzają rządy, ludy, zdania,
Syn twój wyzwany do boju bez chwały
I do męczeństwa... bez zmartwychpowstania.

Każde mu wcześniej w jaskinią samotną
Iść na dumanie... zalegać rohoże,
Oddychać parą zgniłą i wilgotną
I z jadowitym gadem dzielić łożę.

Tam się nauczy pod ziemię kryć z gniewem
I być jak otchłań w myśli niedościgły;
Mową truć z cicha, jak zgniłym wyziewem,
Postać mieć skromną jako wąż wystygły.

Nasz Odkupiciel, dzieckiem w Nazarecie,
Piastował krzyżyk, na którym świat zbawił.
O Matko Polko! ja bym twoje dziecię
Przyszłymi jego zabawkami bawił.

Wcześniej mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego kaź zaprzęgać woza,
By przed katowskim nie zbladnął obuchem
Ani się spłonął na widok powroza;

Bo on nie pójdzie, jak dawni rycerze,
Utkwić zwycięski krzyż w Jeruzalemie,
Albo jak świata nowego żołnierze
Na wolność orać... krwią polewać ziemię.

Wyzwanie przyszłe mu szpieg nieznajomy,
Walkę z nim stoczy sąd krzywoprzysiężny,
A placem boju będzie dół kryjomy,
A wyrok o nim wyda wróg potężny.

Zwyciężonemu za pomnik grobowy
Zostaną sucha drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiety
I długie nocne rodaków rozmowy.

Adam Mickiewicz (1798–1855)



HYMN (BOGURODZICA)

Bogarodzico, Dziewico!
Słuchaj nas, Matko Boża,
To ojców naszych śpiew.
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon,
Wolności rośnie krzew.
Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron.

Podnieście głos, rycerze,
Niech grzmiał wolności śpiewy,
Wstrząsną się Moskwy wieże.
Wolności pieniem wrzuszę
Zimne granity Newy;
I tam są ludzie – i tam mają duszę.

Noc była... Orzeł dwugłowy
Drzemał na szczycie gmachu
I w szponach niósł okowy.
Słuchajcie! zagrzmiały spiże,
Zagrzmiały... i ptak w przestrachu
Uleciał nad świątyni krzyże.
Spojrzał – i nie miał mocy
Patrząc na wolne narody,
Olśniony blaskiem swobody,
Szukał cienia... i w ciemność uleciał północy.

O wstyd wam! wstyd wam, Litwini!
Jeśli w Gedymina grodzie
Odpocznie ptak zakrwawiony,
Głos potomności obwini
Ten naród – gdzie czczą w narodzie
Krwia żardzawiała korony.
Wam się chylić przed obcemi,
Nam we własnych ufać siłach;
Będziem żyć we własnej ziemi
I we własnych spać mogiłach.

Do broni, bracia! do broni!
Oto ludu zmartwychwstanie,
Z ciemnej pogńębienia toni,
Z popiołów Feniks nowy
Powstał lud – błogosław, Panie!
Niech grzmi pieśń jak w dzień godowy.

Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas, Matko Boża,
To ojców naszych śpiew,

Wolności błyszczą zorza,
Wolności bije dzwon
I wolnych płynie krew,
Bogarodzico!
Wolnego ludu krew
Zanieś przed Boga tron.

Juliusz Słowacki (1809–1849)



NIM SŁOŃCE WEJDZIE, ROSA WYŻRE OCZY

O, wiem, że Polska bój zwycięski toczy,
O! nie zginęła i nigdy nie zginie –
Lecz my czyż ujrzym ją w chwały godzinie? –
Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy!

I będzie wielka – i będzie wspaniała –
Lecz robak trumien wprzód może nas stoczy,
Niejedna w świecie tkwi rozbicia skała –
Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy!

Ach! płyną lata! ach! płyną i wieki,
Nim się Myśl Boża w ciało przeistoczy!
Zguba wciąż bliska – a triumf daleki –
Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy!

My tak kochali – a pili truciznę!
My tak żyć chcieli – a żyli w zamroczony!
Inni, ach! będą oglądać ojczyznę! –
Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy!

Zygmunt Krasiński (1812–1859)



MOJA PIOSNKA [II]

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów Nieba...
Tęskno mi, Panie...

Do kraju tego, gdzie winą jest dużą
Popsować gniazdo na gruszy bocianie,
Bo wszystkim służą...
Tęskno mi, Panie...

Do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony
Są, jak odwieczne Chrystusa wyznanie,
„Bądź pochwalony!”
Tęskno mi, Panie...

Tęskno mi jeszcze i do rzeczy innej,
Której już nie wiem, gdzie leży mieszkanie,
Równie niewinnej...
Tęskno mi, Panie...

Do bez-tęsknoty i do bez-myślenia,
Do tych, co mają tak za tak –
nie za nie,

Bez światło-cienia...
Tęskno mi, Panie...

Tęskno mi ówdzie, gdzie ktoś o mnie stoi?
I tak być musi, choć się tak nie stanie
Przyjaźni mojej...
Tęskno mi, Panie...

Cyprian Kamil Norwid (1821–1883)



*** (DA BÓG KIEDYŚ ZASIAŚĆ W POLSCE WOLNEJ)

Da Bóg kiedyś zasiać w Polsce wolnej
Od żyta złotej, od lasów szumiącej,
Da Bóg, a przyjdzie dzień nieustający
Dla srebrnych pługów udręki mozolnej

Jeszcze oddzwiekną kamienie na młoty
I z twardym ziemia pogada lemiącem
I z wszystkich jeszcze kamieni wykrzeszę
Iskier snop złoty

Więc gdy wiosennym oglądam wieczorem
W mgły otulona zagonów szarzyznę,

Ktoś w moim sercu wykuwa toporem
Moją Ojczyznę.



XXX

Taką jak byłaś – nie wstaniesz z mogiły!
Nie wrócisz na świat w dawnej swojej krasie;
Musisz porzucić kształt przeszłości zgniły,
Na którym teraz robactwo się pasie;

Musisz zatracić niejeden rys miły
I wdzięk w dawniejszym uwielbiany czasie...
Lecz nową postać wziąć i nowe siły
I nowych wieków oręż mieć w zapasie.

Grób cię nie odda światu – widmem bladym,
Z mogilnej pleśni i zgnilizny plamą,
Do wnętrza śmierci przesiąkniętą jadem...

Lecz, przystrojona w królewski diadem,
Musisz do życia wkroczyć życia bramą,
Musisz być inną, choć będziesz tą samą!

Asnyk Adam (1838–1897)



LISTOPAD 1918

To jest ostatnia jesień, niebezpieczna pora,
I ostatnie zarosłe niewolą przysłowie,
Zwołajcie nocne zjawy i wpuście upiora,
Niech pyta? i niech naród mu teraz odpowie.

Niech spojrzą sobie w oczy, dwa widma
i wrogi,
I rozstrzygną, kto kogo na nowo powali:
Ta przeszłość kościotrupia, talizman złowrogi,
Czy tłum, co ciągnie z krzykiem i nie wie,
co dalej.

Wybierać trzeba szybko, raz jeden? na wieki,
Jeśli wolność? to twardą, bez łez i zalotów.
To nic, że miasto śpiewa i płaczą powieki,
Kto na wierzch ją wywłóczy? na wszystko
jest gotów.

Sępm wzrokiem po kraju jałowym przeleci,
Po ruinach, po nędzy rozległej dokoła:
Musি zgarnąć i złożyć tę wolność ze śmieci
I przepchnąć ją przed światem, i stawić
mu czoła.

Bo na cóż liczyć, patrzcie! Ta garstka
pielgrzymia,
Co przed dworcem na deszczu wystaje i czeka,
To jest wszystko? to pustkę bez dna
wyolbrzymi;
Otwiera loch nicestwa i straszy z daleka.

A jednak tylko oni, ta młodość po prostu,
Co upartym czekaniem od lat się nie nuży
Z tego placu wypadnie i skoczy, jak z mostu,
W ślepy mrok i na ślepo się w przyszłość
zanurzy.

Natchnionymi płucami jej ciemność
przedmucha.
I udeptaną ziemię raz jeszcze rozdrapie,
I z mroźnego szaleństwa przywoła tu ducha,
By ogień w czterech rogach podkładał
na mapie.

Najwyższy czas! Już wieje niebezpieczną porą,
Już dymi mokry dworzec i dudni pociągiem.
Czy teraz jesień wygnać? niech sami wybiorą?
Czy martwe truchło wynieść do góry
posągiem?!

Wstrzymajcie szumny pochód. Niech stanie
na mieście
I usta rozkrzyczane w milczenie pozbiera.
Jedno jest tylko hasło, milcząco je nieście:
Wierzy się lub nie wierzy, żyje lub umiera.

Kazimierz Wierzyński (1894–1969)



Mieczysław A. Łyp

WIERSZE ŚNIEGIEM PRZYPRÓSZONE

BIAŁA KOŁĘDA

Po południu przychodzi
cichy i kruchy jak opłatek
wigilijny zmierzch

Dalekie galaktyki
pławią się
w śnieżnych zatokach
w śnieżnych przestrzeniach

Biały śnieg biała noc
biały bez biała gołąbica
i lipcowy ogród z Matką
z pnącymi różami
w kolorze płonącego rubinu

Dziś
tak jak i wtedy
w białych zawiejach
wypatruję sadu Ojca
śladów kuropatw
i świateł choinki

Kiedy w rozjarzonym oknie
staje Gwiazda
i kiedy wieczór
zostaje zasypany
zapachem drzewka wigilijnego
z chórem skrzydlatych aniołów
w odwieczną głębinę
grudniowej nocy
wznoszę świętą kolędę pokoleń



CHWILA PRZEDŚWIĄTECZNA

W rynnicy płynie jeszcze noc
po dachu stąpa kruchy świt
i pada pierwszy śnieg



Grudzień
jak zwykle rozwiesza biel
białe obietnice
i gwiazdy u okien

Jutro pójde po choinkę

Najbliższym podaruję jej zapach

Nie zapomnę o Matce
Wspólnie z Ojcem
nakarmię białą gołąbicę
i kuropatwy

Siostrze
podaruję gałęzie choiny
i pęki białych pulsujących gwiazd
z ośnieżonych połączy nieba
Braciom – zapalę światła ogromne
niech śnią dobry los
i tamten pełen ciepła dom

Miejsce przy stole
podaruję samotnemu
a źdźbło siana
zagubionej łani
z pobliskich pól

Julka zamruczy kolędę
i przywoła wigilijny zmierzch
Golden obwieści światu
psią radość ze spotkania
z Człowiekiem

Jutro
na pewno pójde po choinkę



Ratusz i Rynek w Rzeszowie w okresie Świąt Bożego Narodzenia

W BLASKU GWIAZDY BETLEJEJSKIEJ

Już w pierwsze grudniowe wieczory
wołają mnie drzewka wigilijne
szczególnie te
omotane białym zmerzchem
szczególnie te
omotane zapachem lasu
szczególnie te
omotane szumem śnieżnego potoku
szczególnie te
omotane światłem opłatka

Nad moim domem
leci srebrna gołębica
Nad moim domem
rozłożyste zielone świerki
cichą nocą
kołyszają do snu
błękitne kolędy

Lubię ten czas
gdy do mojego domu
wchodzi
biała Wigilia
z Gwiazdą
kozą piszczałką turoniem
i zapachem suszonych śliwek

Rzeszów, grudzień 2018 r.



NIECODZIENNY GOŚĆ

Rozległ się wreszcie upragniony gong u drzwi, lecz nagle się okazało, że Mira straciła ochotę na spotkanie z długo oczekiwanym gościem. Bojaźliwie skryła się za matką, uśmiechając się zagadkowo pod nosem. Nieziemski przybysz wyraźnie się niecierpliwił. Wreszcie zaczął hałaśliwie potrząsać trzymanym w dłoni dzwonkiem.

– Ja chcę do taty! – prosząco wydukała dziewczynka.

Mama próbowała ją uspokoić. Pogłaskała ją po główce.

– Tato przecież wyszedł – przypomniała. – Idź śmiało i otwórz. To święty Mikołaj.

Mireczka nie kwapiła się jednak z podejściem do drzwi. Wreszcie mama sama otworzyła.

Przybyły miał czerwoną czapę z pomponem, czerwoną kaptotę i spodnie, oraz potężną białą brodę, sięgającą mu prawie do pasa. W worku na plecach przytargał mnóstwo prezentów.

– Dzień dobry – powitał basem matkę. Wkroczył do przedpokoju, a potem do salonu. – Czy w tym domu są jakieś dzieci? – zapytał.

– Owszem, jest jedno – ze spokojem odpowiedziała mama, rozglądając się za Mirą. Ta jednak znikła jej z oczu. Wiedziała jednak, gdzie jej szukać. Zajrzała pod stół. – Wychodź stamtąd, strachulo! – rzekła.

Chcąc nie chcąc dziewczynka wygramoliła się spod stołu. Kurczowo złapała mamę za rękę i z przejściem wlepiła oczy w przybysza.

– O, jest dzidzius – ucieszył się święty, widząc dziewczynkę z kokardami we włosach. – A jak masz na imię? – zapytał, pochylając się i biorąc ją pod brodę. Worek z prezentami złożył na krześle.

– Mireczka – odpowiedziała, a potem potulnie dygnęła przed świętym Mikołajem.

– Śliczniutkie imię – niewymownie ucieszył się siwobrody przybysz. Nietrudno było się domyślić, że wprost przepada za dziećmi – inaczej nie wybieralby się do nich z wizytą z nieba. – A czy jesteś posłuszna? – zapytał.

Mama potwierdziła za córkę.

– Jest grzeczna, święty Mikołaju. Słucha mnie i taty, szoruje codziennie ząbki i modli się do Anioła Stróża. No, ale niekiedy – poskarżyła się – bywa niesforna...

– Wcale nie – zaprzeczyła córka. Spoglądała łakomie na worek, w którym rysowały się jakieś kuszące

kształty. Na pewno nie brakowało w nim zabawek i słodyczy.

Święty Mikołaj roześmiał się basowym głosem.

– Ha, ha, ha! – trzymał się za brzuch. – Niegrzecznym dzieciom nie przynoszę prezentów, tylko różgi. Z pewnym rozbawieniem lustrował Mirę. – Musisz mi obiecać, że zawsze będziesz słuchać rodziców.

Dziewczynka skwapliwie przytaknęła. Nie czekając na zaproszenie, pobożnie się przeżegnała i pochwaliła się znajomością modlitwy, której się ostatnio nauczyła.

Święty z nieba był poruszony.

– Bardzo się cieszę, podobają mi się dzieci, które pamiętają o pacierzu. No, ale teraz czas na prezenty.

Kulminacyjna chwila nadeszła. Wyjął z okazałego worka duże pudełko, owinięte kolorowym papierem i przewiązane czerwoną wstążką. Wręczył je dziewczynce, która z wrażenia nie mogła utrzymać go w rękach. Potem wydobył jeszcze dwa mniejsze pudełka.

– Jedno jest dla mamy, a drugie dla taty – wyjaśnił. – O dorosłych też muszę dbać. Potem uderzył się ręką w czoło, niby to w nagłym olśnieniu. – Ależ jestem gapą, przecież najważniejszy prezent zostawiłem przed drzwiami – wyjrzał z mieszkania i wniósł do salonu przepięknego konika na biegunach.

Po jego wyjściu przejęta dziewczynka pod okiem mamy chwilę pobujała się na koniku, a potem zabrała się do otwierania tajemniczego pudła. Mama pomagała jej rozsupłać węzeł kokardy.

Nagle coś jej przyszło do głowy.

– Mamusiu? – ciekawie zapytała. – A dlaczego święty Mikołaj miał na nogach buty taty?..





LEŚNA SANNA

Zgrzane konie przy dyszlu parskają, ciągnąc duże wymoszczone sanie. Po obu stronach ledwo co przetartej leśnej drogi majestatycznie przesuwały się ośnieżone sosny, świerki i jodły. Drzewa wyglądały jak z bajki. Białe płatki skrzyły się w promieniach styczniowego słońca. Woźnica co rusz trząskał z bata i ponaglał klacze:

– Wio, wio!... – przywoływał je do porządku, gdy zwalniały.

Te były podobne do siebie. Obie jasnokasztanowate z łysinkami i nierówno białymi nadpęciami, które Mirczce żywcem przywozili na myśl ciepłe wełniane skarpetki.

Zakutana w wilcze skóry dziewczynka z zacięciem chłonęła leśne widoki. Ziemia była skuta lodem. Wypłoszony szarak wystrzelił jak z procy i trwożnie przemknął na drugą stronę lasu, omal nie wpadając pod kopyta.

– O, królik, widziałam króliczka! – zawołała poruszona.

Woźnica uśmiechnął się pod nosem. Na jego wąsach osiadł szron.

– To zajęc – sprostował. – Szarak. Spadło sporo śniegu i biedaczyska mają ciężko – wyjaśnił z powagą.

Tatko milczał, nie wtrącając się do pogaduszki. Miał na sobie puchową kurtkę z kapturem, a zielonkawy kapiszon przysłaniał mu pół twarzy.

Przejęta dziewczynka podjęła rozmowę z furmanem, choć wcześniej trochę się na niego boczyła. Chyba wstydziła się obcego.

– Czy to prawda, że leśnym zwierzątkom brakuje pożywienia?!

Woźnica przytaknął. Trzymał w rękach lejce, pilnując drogi, lecz chętnie zwracał się do maleńkiej towarzyski podróży, aby przybliżyć jej to i owo z tajemnic zimowego lasu.

– Nocą spada mróz i skuwa ziemię. Sypie śnieg. Nie tak łatwo dostać się do traw i mchów, skrytych pod twardą warstwą lodu. Cóż zatem mają począć? Kiedy nadejdzie ostra zima, zajęce i sarny zaczynają głodować. Trzeba stawiać karmy z sianem. Dzikom zresztą też się podsypuje. Jesienią szkolne dzieci zbierają żołądździe. Potem całe worki tego leśnego bogactwa przekazują kołu myśliwskiemu.

Tatko dorzucił swoje trzy grosze.

– Chyba to rozumiesz, przecież sama dokarmiasz ptaki. Mamy karmnik za oknem w kuchni.

Mira się ożywiła, gdyż lubiła zajmować się ptakami.

– Mama rzuca wróblom okruchy chleba i wiesza sikorkom na drucikach kawałki słoniny – pochwaliła się woźnicy. – I przegania duże gołębie, żeby nie zabierały im pożywienia.

Woźnica obrócił się do tyłu.

– Słonina musi być surowa – powiedział do taty. – Wędzona może sikorkom zaszkodzić. Karmniki odwiedzają przede wszystkim bogatki, modraszki, zięby, kosy, sierpówki, dzwońce i wróble – ciągnął. Znał się na tym, bo pracował w nadleśnictwie. – Ale ich byt nie jest zagrożony. Są przystosowane do zmian, związanych z tą porą roku. W lesie jest jednak trochę inaczej. A może chcecie obejrzeć z bliska karmę dla saren? – przyszło mu nagle do głowy. – Jest tu, nieopodal, na jednej z niewielkich leśnych polan – pokazał kierunek głową. – Z dojazdem nie powinno być kłopotów.

Oboje, tatko i Mirka, chcieli zobaczyć, jak dokarmia się leśne zwierzęta. Słońce było jeszcze wysoko, więc nie musieli spieszyć się z powrotem.

Woźnica krzyknął na konie, ściągnął lejce i sanie skrzyły w boczną dróżkę. Znaleźli się nagle pod niskimi koronami drzew i chcąc nie chcąc zaczęli trącać głowami gałązki, z których sypał się biały puch.



ULEPIMY BAŁWANĄ

Trudno było sobie wymarzyć wspanialszą pogodę. Nocą cicho sypał śnieg. Otulił drzewa i krzewy, ozdobił dachy domów i wyścielił białym puchem ulice i place. W parku było nastrojowo i cicho. Słońce skrzyło się milionami iskier w kryształkach lodu i można było odnieść wrażenie, że ten zamienił się w baśniowy ogród królowej mrozu.

Tatko wcielił się w rolę konia pociągowego. Parskał i prychał, dziarsko ciągnąc sanki z ciepło okrytą Mirą. Rzuciły się w oczy jej czerwona wełniana czapeczka z pomponem i czerwony szalik.

Dotarli do połowy parku, jednak tam zabawa w sannę mu się znudziła.

– Ulepimy bałwana – rozochocony zawołał, gdy śniegowy pojazd utknął w zaspie między świerkami. – Nie ma dużego mrozu i śnieg jest w sam raz.

– Ulepimy! – krzyknęła córka. Próbowała zaklaskać w dłonie, ale nie mogła, gdyż przeszkadzały jej rękawiczki.

Zabrali się pospołu do dzieła. Tato utoczył dużą białą kulę i ustawił ją obok przysypanej śniegiem ławki. Potem przyturlał drugą – mniejszą, a wreszcie trzecią – najmniejszą.

– Ta ostatnia, to głowa bałwana – wyjaśnił, osadzając ją na tułowiu śniegowej figury. Oceniał z uznaniem swoją pracę. – Teraz ty możesz się popisać. Twoim zadaniem będzie dorobić mu oczy i nos.

Mireczka bezzwłocznie się zabrała do upiększania postaci. Oczy powstały z dwu małych zielonych szyszek, a nos – z grubego patyka.

– Brawo, brawo! – cieszyła się dziewczynka.

Tato dokleił figurze ręce i włożył w jedną z nich gałązkę jedliny.

– Popatrzcie, bałwan! – zawołał jeden z przechodzących alejką młokosów.

– Wygląda okazale – tatko sam wpadł w podziw. – Aż szkoda odchodzić – orzekł z odrobiną żalu.

Stali i patrzyli. Śniegowa postać była jak żywa. Wydawało się, że zdążyła się do nich w mig przywiązać i że nie chce się zgodzić, by ją porzucili.

– To może zabierzemy go na sanki? – Mira wpadła na olśniewający pomysł.

Ojciec nie usiłował oponować. Rzucił okiem na sanie, a potem na bałwana.

– Dlaczego nie? – zgodził się z córką.



Zabrał się do przenoszenia bałwana – choć nie było to łatwe. Przyciągnął sanie do śniegowej postaci i po kilku próbach ich zimowy druh chybotając się dumnie osiadł na miejscu, które wcześniej zajmowała dziewczynka.

– No, ale ty nie będziesz mogła jechać – rozsądził ze smutkiem. – Podrepczesz obok niego.

Mirce to nie przeszkadzało.

– Nic nie szkodzi – rzekła. – Mogę iść. Czy wiesz, gdzie go postawimy?

– Gdzie? – zapytał tato.

– Pod naszymi oknami. Nie będzie się czuł samotny – posapywała i łykała powietrze, krocząc obok sań. – No i mama go zobaczy.

– Czemu nie? Może tam stać. I pewnie wytrwa do pierwszych roztopów. O ile nikt go wcześniej nie zniszczy...

– A może wymyślimy dla niego jakieś imię?

– A jak! – huknął tato. – Przecież musimy na niego jakoś wołać. To prawie jak członek rodziny...

*Opowiadania pochodzą z książki
„Radosny świat Mireczki”*

PIEŚŃ KRONIKA

Ta ziemia taka czysta, jakby umieciona skrzydłem aniołów.

Cicha i równinna, tyle już wycierpiała, a zawsze dziecinna.

Ufa, że dobroć jest tylko dobrocią,

a prawo tak jest prawem, jak pola się złocą,

kiedy żyto dojrzewa, jak zimą śnieg pada.

Tu wierzą wciąż, że sąsiad szanuje sąsiada,

że chleb jest święty, jeszcze świętsza praca.

Ta ziemia wielkiej myśli, kiedy ją zdeptano

jak ogień tysiąc iskier – tysiąc wielkich ludzi rozrzuciła po świecie.

Kto pustynię budził, kto gasił żar równika,

kto topił lodowiec, jeśli nie iskry jej – wielcy synowie współumarli z tęsknoty.

Teraz powróceni w jedno wspólne ognisko

zbudują na ziemi więcej, niżli ktokolwiek – widzę to ja ślepy.

Ta ziemia taka czysta, jakby umieciona skrzydłem aniołów.

Cicha i równinna, tyle już wycierpiała, a zawsze dziecinna.

Ufa, że dobroć jest tylko dobrocią,

a prawo tak jest prawem, jak pola się złocą,

kiedy żyto dojrzewa, jak zimą śnieg pada.

W dalekich ziemiach za to umierali moi ojcowie.

Za gniazdo bociana, za chleb, za tę równinę, co niepokalana.

Za to powietrze ze wszystkich mądrości najzdrowsze,

za ludzi zgodnych, mądrych i cierpliwych,

za najwierniejszych z wiernych, uczciwych z uczciwych.

Za mą Ojczyznę-Polszczyznę, Mazowsze.

W dalekich ziemiach za to umierali.

Marek Grechuta (1945–2006)

